MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 9 WARSZAWA, 27 LUTEGO 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

POPŁAWSKI O SAMORZĄDZIE GMINNYM

W marcu r.b. upływa trzydzieści lat od śmierci Jana L. Popławskiego. Postać tego znakomitego publicysty z odległości czasu widziana, nie traci rozmiarów, owszem w świetle późniejszych doświadczeń i rozważań widzimy dokładniej zalety jego rozumu i wartość posiewu, dokonanego przezeń w umysłach.

Oto obecnie p. Karol Wierczak b. poseł odnalazł publikację, stanowiącą dziś rzadkość bibliograficzną, w której są zanotowane dyrektywy Popławskiego w sprawie obecnie aktualnej reformy samorządu gminnego. Jest to wydawnictwo „Słowa Polskiego" we Lwowie z datą 1905 pod tytułem: „Materiały do programu polityki narodowej w Galicji. Część I. W sprawie reformy gminy wiejskiej". Dwie konferencje z dn. 1 i 14 października 1904. Broszura obejmuje na 118 stronach protokuł rozpraw i referaty.

Konferencje owe odbyły się z inicjatywy „Słowa Polskiego" w jego lokalu. Pozostawały one w związku z pracami nad programem powołanego świeżo do życia Stronnictwa Demokratyczno - Narodowego. Ożywczy prąd reformy stosunków w duchu wskazań ogólno-narodowych udzielił się ze „Słowa Polskiego" całemu społeczeństwu. Ludzie oświeceni na stanowiskach państwowych i samorządowych pomimo różnic pewnych w poglądach politycznych skupiali się koło „Słowa Polskiego". Widzimy więc, że w obradach biorą udział przedstawiciele Wydziału Krajowego: i namiestnictwa, prof. Głąbiński, młody profesor, autor później wydanej „Galicji" Fr. Bujak, wreszcie gorliwy pracownik na niwie kultury gospodarczej i oświatowej Józef Beck (ojciec obecnego ministra S. Z.). Ten wieloletni sekretarz samorządu powiatowego w Limanowej, niezastąpionym był ekspertem w sprawach samorządu gminnego. Z tytułu tego znawstwa Józef Beck zajął w Rzeczypospolitej za czasów min. Wojciechowskiego stanowisko podsekretarza stanu w Min. Spraw. Wewn. W owe czasy w r. 1904 wielką pracę wkładał w dźwiganie ubogiego podgórskiego powiatu Limanowskiego i doprowadził do tego, że powiat ten za wzorowy uchodził dla całej Galicji.

W poniższym streszczeniu protokułu p. Wierczak podaje tylko to, co dotyczy stanowiska Popławskiego. Rysem zasadniczym tego pisarza politycznego było, że uważał swoją myśl, podawaną w druku, nie za literaturę, lecz za postać czynu. Każdą swoją wiarę usiłował realizować i to nie przez namawianie innych tylko, lecz osobistym pionierstwem. W młodości był z tego powodu zsyłany na Sybir, w 1894 dostał się do Cytadeli, w Galicji zaś (od r. 1895 — 1906) dzielił czas między pisanie i narady, a zanim projekt powziął, dokładnie go przepracowywał. Ten dziennikarz z Warszawy, zasiadając do narad ze specjalistami z Wydziału Krajowego, bodaj dokładniejszy miał obraz całości zagadnienia niż tamci. Żaden z nich pewno nie przestudiował tak dokładnie statystyki ludnościowej Galicji według powiatów jak Popławski. W kalendarzu „Słowa polskiego" na r. 1904 (nieoceniona kopalnia informacji o Galicji) znalazła się obszerna, bo licząca zgórą 22 strony druku praca demograficzna Popławskiego p. t. „Statystyka ludności Galicji." Sporządził do niej osobiście 16 tablic, w których zobrazował: 1) liczbę ludności i gęstość zaludnienia według powiatów z podziałem na liczby mężczyzn i kobiet, 2) Ruch ludności, 3) przyrost ludności i emigracja, 4) ludność pod względem narodowościowym i wyznaniowym. Nie trzeba dodawać, jak krytycznie dane cyfrowe oświetlił.

Impuls do badań struktury społecznej, nadany przez Popławskiego, żywy był w „Słowie Polskim" do kresu wojny 1914 pomimo opuszczenia Galicji przez tego twórcę ruchu narodowego. Ponieważ statystyka urzędowa nie dawała dokładnego obrazu struktury gospodarczej miast i miasteczek galicyjskich, „Słowo Polskie" urządziło wielką ankietę badawczą w tym kierunku, mianowicie w celu zbadania, jak rozłożone są handel, rzemiosło i wolne zawody między ludność chrześcijańską i żydowską.

Zdobyty materiał ogłaszany był przez parę lat na łamach dziennika. Materiał ten pochodził od upatrzonych w każdym punkcie kraju korespondentów, pracujących nad tem według jednolitej instrukcji. Z wielkim zapałem dokonywali tej roboty nasi przyjaciele. Miała z tego powstać duża księga. Część arkuszy, obejmujących usystematyzowany materiał, była już w formie książkowej wydrukowana. Nad redagowaniem mozolił się bardzo skrupulatny młody dziennikarz, wychowanek Uniwersytetu Lwowskiego, dziś już nieżyjący, Józef Stokłosa.

Wojna przerwała tę robotę, a co z materiałem się stało, niewiadomo. Obcy ludzie gospodarowali w czasie wojny. Gdyby obecnie statystyka wypełniła te rubryki jak należy, nie żal byłoby łożonego wtedy trudu. Z. W.

*

Młode pokolenie, które wyrastało po upadku ostatniego powstania, zakładając tajną organizację— „Ligę Narodową", rozumiało, że w ludzie jest siła niespożyta, że przede wszystkim z chłopa polskiego trzeba stworzyć żołnierza-obywatela, który weźmie na swoje silne barki trud budowy przyszłej Polski.

Popławski, jako redaktor „Polaka", pisał, że chłopa dla Polski nie trzeba kupować, nie trzeba schlebiać mu, ale wzbudzić w nim ambicje narodowe. Podczas przymusowej bytności we Lwowie, Popławski, jako redaktor polityczny „Słowa Polskiego", które było wyrazem narodowej myśli politycznej, uważał za jedną ze swoich trosk publicznych pracę nad uświadomieniem ludu. On to był założycielem tygodnika ludowego — „Ojczyzny", autorem szeregu broszur, których zadaniem było wychowanie ludu, a poza tym zwracał uwagę na wszelkie dziedziny życia publicznego, w których lud można było przygotować do pracy publicznej. Z jego to inicjatywy redakcja „Słowa Polskiego" zwołała dn. 1 i 16 października 1904 r. dwie konferencje, poświęcone sprawom samorządowym. Rządzący wówczas w Małopolsce, pod opieką rządu austryjackiego, stańczycy krakowscy wysunęli w Sejmie krajowym projekt zbiorowej gminy, chcąc zupełnie samorząd zbiurokratyzować. Przypomnieć należy, że sanacja, biorąc często w swoich pomysłach wzór od stańczyków krakowskich w rządzeniu krajem, projekt ten przeprowadziła w polskim Sejmie w 1934 r., w nowej ustawie samorządowej. Przeciwko pomysłom stańczykowskim wzbudziła się w Małopolsce wówczas silna reakcja. Stronnictwo Demokratyczno - Narodowe było przeciwne zbiurokratyzowaniu samorządu i dla ustalenia swojego stanowiska w sprawie samorządu i administracji krajowej. Konferencję, zorganizowaną przez „Słowo Polskie", zagaił naczelny red. „Słowa Polskiego", Zygmunt Wasilewski. W konferencji wzięli udział: prof. Franciszek Bujak, sekretarz Rady Powiatowej w Limanowej Józef Beck, członek Wydz. Krajowego Henryk Sawczyński, radca krajowy Pierożyński, prezes Głąbiński, prof. Dr. Jan Rozwadowski i kilku posłów narodowych z prez. Głąbińskim na czele.

Red. Jan Popławski zabrał pierwszy głos, zaznaczając, że przed rozpoczęciem szczegółowej rozprawy o reformie gminy wiejskiej, należy uświadomić sobie w jakim ta rozprawa powinna iść kierunku. „Należy — mówił on — chociażby ogólnikowo zaznaczyć zadania samorządu, a zwłaszcza samorządu gminnego, wyjaśnić sobie, czym gmina wiejska być powinna. Wtedy bowiem dopiero można wytknąć właściwy kierunek reformy samorządu gminnego i znaleźć odpowiednie kryterium. U nas z tej kwestii zrobiono kwestię polityczną, a nawet kwestię partyjną. Jest to w pewnym znaczeniu niewątpliwie kwestia polityczna, w tym mianowicie, że niemal wszyscy się zgadzają, że gmina powinna być dla ludu szkołą życia publicznego, a więc i politycznego. To jest jednak ogólnik, który najrozmaiciej bywa pojmowany. Są i tacy, którzy to tak pojmują, że gmina powinna zaprawiać ludność wiejską do akcji wyborczej. Według mojego zdania, musimy dążyć do samodzielności obywateli w kraju, do bezpośredniego ich udziału w życiu publicznym i w gospodarce publicznej — słowem do samorządu. Mówi się u nas z wiarą o sile niespożytej ludu i o znaczeniu jego dla przyszłości narodu. Postęp polityczny i kulturalny ludu dla nas wszystkich Polaków, to nie tylko sprawa pomnożenia pracowników i bojowników przyszłości narodowej, ale i sprawa odrodzenia życia narodowego, odświeżenia i wzbogacenia jego treści, wzmocnienia podstaw jego dalszego rozwoju. Ten lud jednak dzisiaj do poważnego udziału w życiu publicznym trzeba dopiero zaprawiać i przyuczać, i to nie za pomocą walk stronniczych, budzenia nienawiści klasowej, jak również nie za pomocą filantropij i opieki nieproszonej i często uciążliwej. Trzeba w ludzie rozwijać poczucie samodzielności, skoro ma on być i już jest jednym z głównych czynników siły narodowej, przynajmniej jej podstawą. Trzeba go przygotować do udziału rozumnego i świadomego w pracy publicznej, w pracy obywatelskiej. Tak jak się lud rozwija ekonomicznie, samopomocą, liczeniem na własne siły, pracą zbiorową, tak i politycznie przygotować go trzeba przez pracę w gminie, zajęcie się sprawami miejscowymi. które go bezpośrednio obchodzą, na których się zna. W gminie wyrabiać się powinno zrozumienie interesu publicznego, tak rzadkie u nas, a tak potrzebne. W tym znaczeniu przede wszystkim gmina powinna być szkołą życia publicznego, to jej zadanie pedagogiczne jest ważniejsze, niż jej zadania administracyjne. Jeżeli zaś to właśnie zadanie gminy— jako szkoły życia publicznego, — uznajemy, to już łatwo porozumieć się można co do tych ogólnych, zasadniczych wskazań, do których należy się stosować w projektach reformy.

Po uwagach wstępnych Popławskiego odczytano referat o reformie gminy Józefa Becka, nad którym rozwinęła się szeroka dyskusja, której nie zakończono na jednym posiedzeniu, ale zwołano następną konferencję dla dokończenia rozprawy i wyciągnięcia pewnych wniosków.

Popławski brał bardzo żywy udział w dyskusji, przemawiał 8 razy i w krótkich swoich, jasnych przemówieniach starał się uzasadnić swoje stanowisko, że jest zdecydowanym przeciwnikiem gmin zbyt małych, o co walczyło szereg mówców, aby zatrzymać stan ówczesny w gminach, a równocześnie zwalczał projekt konserwatystów, którzy dążyli do stworzenia wielkich gmin zbiorowych, t. j. do zniszczenia samorządu i zupełnego zbiurokratyzowania pracy w gminie.

Mówił on: „Istnienie takich gmin, które mają mniej niż 500, a nawet mniej niż 200 mieszkańców, jest niedorzecznością. A takich gmin, jak

wykazuje statystyka, mamy sporą liczbę. Gdybyśmy przyjęli 2.000 głosów jako nominalną cyfrę ludności gminy, to po przyłączeniu obszarów dworskich dość znaczna liczba gmin dotychczasowych odpowiedziałaby tej normie. Wierzę w zdrowy rozsądek chłopski, który łatwo oceni korzyści, płynące z utworzenia gmin średnich, chociażby była przeciw nim agitacja, przede wszystkim Stronnictwa Ludowego. Ludność włościańska słusznie obawia się wielkich gmin okręgowych z mianowanym wójtem gminy, zastosowanej raczej do wymagań administracji, niż do wymagań samorządu. Ja sądzę, że skoro nauczyciel pobiera 800 — 900 koron rocznie, to i pisarz porządny, fachowy w gminie mógłby na tym wynagrodzeniu poprzestać. Inne obowiązki w gminie, które nie zajmowały w gminie średniej wiele czasu, powinny być spełniane jako bezterminowa służba obywatelska. Gmina większa mogłaby stwarzać instytucję dobra i użytku publicznego, zorganizować pomoc lekarską, opiekę nad ubogimi, kasę pożyczkową, czuwać nad ochroną od pożarów, prowadzić we własnym zarządzie różne przedsiębiorstwa."

Red. Popławski, zagajając drugą konferencję, stwierdził, że w poprzedniej ujawniły się dwa niejako kierunki, t. j. jedni przychylali się do gminy większej, nie rozumiejąc jednak pod tym bynajmniej gminy okręgowej takiej, jaką proponuje stronnictwo krakowskie. Inni zaś byli za zachowaniem gminy istniejącej — małej. Znaczna większość przemawiających godziła się na to, że obszary dworskie należałoby połączyć z gminami.

Zabierając głos w dalszej dyskusji, wyraźnie podkreślił Popławski, że nie jest zwolennikiem gminy okręgowej, owszem jest zdecydowanym przeciwnikiem takiej gminy, jaką projekt stronnictwa krakowskiego zaleca. „Zwracam uwagę, że przemawiałem za gminą zbiorową, to jest za połączeniem obszaru dworskiego z gminą, tudzież za połączeniem mniejszych gmin w większe całości, co bynajmniej nie jest równoznaczne z gminą okręgową. Gdybyśmy zamiast 6.000 dzisiejszych gmin w Małopolsce mieli tylko 1.000, lub nawet 1.500 gmin, to wtedy sprawa stanęłaby inaczej, bo zamiast 80 dzisiejszych gmin w powiecie byłoby ich tylko około 20. Zgadzam się z wywodami prez. Głąbińskiego, gdyż nie chodziło mi wcale o tworzenie okręgów osobnych, tylko o łączenie gmin słabych, niezdolnych do spełniania swych funkcyj, w większe, silne jednostki. Znaczna zresztą jest ilość gmin w kraju, w których ludność wynosi od 1.500 do 2.000 dusz, takie gminy są odpowiednie do wykonania wszelkich czynności, jakie gmina spełniać powinna. Wreszcie są gminy górskie, które ze względu na terytorium mogą mieć mniej nawet niż 1.000 ludności. Jednakże są gminy których jest około 2.000, a które nie mają nawet 500 ludności. Na to się wszyscy zgadzają, że powinny one być złączone. Tak samo zgodzić się należy ze zdaniem prez. Głąbińskiego o zabezpieczeniu polskiej mniejszości narodowej odpowiednich praw na terenie Ziemi Czerwieńskiej."

Przypomnienie słusznych uwag Popławskiego na temat: „Jaką być powinna gmina w Polsce?" jest bardzo na czasie. Wiemy, że koszta administracji gmin zbiorowych w Kongresówce wynoszą według obliczeń urzędowych do 60% budżetów gminnych. W gminach istnieją wielkie biura samorządowe, gdzie nie tylko jest znaczna liczba urzędników, ale także wójt pobiera stałe znaczne pobory. Przeciwko gminom zbiorowym, wprowadzonym według ustawy z roku 1934 na terenie Ziem Zachodnich i woj. południowo-wschodnich, protestuje ludność, stwierdzając, że jest to zbiurokratyzowanie gmin i samorządu. Reforma samorządu jest konieczna. Popławski zostawił nam wskazania, w jakim kierunku należy uzdrowić samorząd w Polsce, aby naprawdę stał się on szkołą życia obywatelskiego.

KAROL WIERCZAK

PRAWDA O WILKU ŻELAZNYM

(WRAŻENIA Z LITWY)

I

WILK ŻELAZNY to, obok Pogoni, jeden z symbolów współczesnej Litwy. Widuje się go na nalepkach propagandowych, na pudełkach od zapałek, kupionych w Kownie... Małe to zwierzątko, stanowiące niezbędne akcesorium bajek dziecinnych, przedstawione jest tam jako zgłodniałe, wychudzone, tęsknie spoglądające ku wyżynom wileńskiej góry zamkowej, widzianej w perspektywie. Moja znajomość z żelaznym wilkiem litewskim datuje od chwili, kiedy minąwszy granicę zapaliłem pierwszego papierosa. Dziwny zbieg nazw i dziwny dwuznacznik. Bo w istocie Litwa jako państwo stanowić długo jeszcze będzie dla przybysza z Polski ziemię nieznaną, niemal egzotyczną, niczem kraina z bajki — to też tym chętniej udałem się na poszukiwanie prawdy o Litwie.

„Kto się w opiekę..." zagrało mi bezwiednie w mózgu, kiedy po całodziennej podróży znalazłem się wreszcie u celu, czyli o kilka kroków od litewskiego szlabanu granicznego z małą walizką w ręku, zawierającą cały mój ruchomy dobytek. Zielony strażnik, sprawdziwszy dokumenty, zawyrokował, że nie stanowię niebezbieczeństwa i bez trudności przepuścił mnie na tamtą stronę. Powiedziałem sobie w tej chwili, że do trzech rzeczy Wilde'a, dla których pono „żyć warto", przybyła mi w tej chwili czwarta — robinsonada podróży na Litwę. W kilka chwil później siedziałem już na samym dnie spracowanej bryki wiozącej mnie w głąb kraju. Był mroźny, ale i mglisty ranek zimowy. Mały, rączy konik żmudzki człapał sobie rytmicznie, a zwolna rzedniejąca mgła odsłaniała przed moimi oczyma nieznany krajobraz. Droga wiła się wciąż, osiedla ludzkie były bardzo rzadkie. Za to na każdym rozstaju dróg witały mnie osobliwe, u nas nie spotykane drogowskazy — krzyże o przedziwnie rzeźbionych kształtach, barwne kapliczki lub figury święte. Drogi litewskie przypomniały mi praski Most Karola — istne marzenie folklorystyczne, świadczące o poczuciu artystycznym tego ludu. Stary, o sumiastym wąsie woźnica uchylał co chwila czapki i z cicha szeptał pacierze.

Szukałem na horyzoncie wsi kościelnych naszego typu, ale nie spotkałem ich. Jak się okazuje, przejeżdżaliśmy przez okolice stanowiące ongiś wielką własność polską. Reforma rolna, zapoczątkowana tu jeszcze przez Waldemarasa, rozdrobniła te majątki na drobne kolonie. Dlatego też zamiast dawnych wsi spotykałem jedynie pojedyńcze zabudowania gospodarskie, oddalone od siebie przestrzenią kilku kilometrów. Te osiedla „samotnicze”, powstałe na terenie dawnych „*dwarininków*” czyli ziemian polskich, sprawiają wrażenie pustki i niesamowitego smutku. Są one typowe dla obecnej Litwy. Gdzie niegdzie, jak w Janiszkach, widnieje jeszcze stuhektarowa resztówka z dawnym, białym dworkiem, o charakterystycznych dla naszego budownictwa kolumnach. Spotkać je można rzadko, coraz rzadziej, gdyż wszystko co zatrąca polskością obraca się tu świadomie w ruinę. Te i tym podobne refleksje towarzyszyły mi podczas kilkugodzinnej podróży do najbliższej litewskiej stacji kolejowej. Otóż widnieje już ona w postaci skleconej z kilku starych wagonów towarowych poczekalni, na progu której wita nas nieodzowny „zielony” żandarm. Panuje tu nieznośny zaduch butów juchtowych i złego tytoniu. Śpią w pozycji siedzącej dwie, czy trzy rodziny włościan okolicznych, oczekujące na nadejście jedynego w ciągu doby pociągu. Ani śladu nietylko prosperity litewskiej, o której się tyle słyszało, ale — najelementarniejszej kultury. Co za nieoczekiwany kontrast po rozkoszach naszego P. K. P.! Wreszcie, po godzinie, nadjeżdża spóźniony pociąg. Sadowię się w pierwszym z kolei przedziale, oczekując wrażeń, jakie spotkają mnie nazajutrz w postaci Kowna — „tymczasowej” stolicy litewskiej. Dawne Kowno, jakie znałem z przed wojny, była to zaledwie czterdziestotysięczna gubernialna mieścina, pełna kurzu, wybojów i panoszącego się po ulicach wojska rosyjskiego. Kowno ówczesne było przecież twierdzą, o której „znaczeniu” wojennym przekonaliśmy się już w pierwszym roku wojny. Komiczny tramwaj konny, przeniesiony dopiero przed kilku laty do muzeum i kilka dorożek rosyjskich — oto były jedyne naówczas środki lokomocji. Przyznaję, że długi sznur niezłych, ale chyba najdroższych w Europie taksówek, jaki zastałem przy dworcu sprawił mi nielada „olśnienie”. Tramwaju ani śladu, suniemy po asfalcie szerokiej Alei Wolności, niczem gdzieś na Zachodzie. Powiedziałbym, że dzisiejsze Kowno (przepraszam — Kaunas!) robi wrażenie czegoś chaotycznego, nie skoordynowanego, bezplanowego. Obok dawnych, modrzewiowych dworków, pamiętających czasy Adamowe, wyrosły w samym centrum wielopiętrowe nowoczesne elewacje, gmachy ministerstw, Banku Litewskiego; nieco dalej — Uniwersytetu. Niektóre z nich nawet niebrzydkie, ale zestawienie z pełnymi poezji dworkami, typowymi dla dawnego Kowna — jest wręcz nieznośne dla oka.

Jeszcze plastyczniej widzę to z wyżyn Góry Zielonej, gdzie za lat dziecinnych spędzało się godziny... lekcyjne. Jak na dłoni widać stamtąd całe miasto, a raczej — dwa obce sobie miasta, złączone w jedno wolą niekulturalnych gospodarzy. Jedynie mury Bazyliki Katedralnej spoglądają ku górze tak samo majestatycznie, jak przed laty. Zamiast więc oglądać tamte horendalne dziwy architektoniczne, wolę przyjrzeć się społeczeństwu.

Ale i tu, jak w budownictwie kowieńskim, widzę dwa odrębne środowiska. Jedno z nich, to generacja przedwojenna, wychowana w tradycji i kulturze polskiej, a zatem podchodząca do zagadnień politycznych z rozwagą i umiarem. Ci ludzie, będący już, niestety, na wymarciu, stanowią element konserwatywny, a obcowanie z nimi przynosi mi najwięcej cennych wiadomości. W tych domach czułem się najlepiej, zwłaszcza że porozumiewanie się w języku polskim, nietylko w imię dawnych stosunków, należy tam do najzupełniej normalnych. Te sfery wysuwają na pierwszy plan rozmowy sprawę sporu litewsko-polskiego, życząc sobie gorąco nietylko dla dobra spraw gospodarczych i kulturalnych, ale ze względów zasadniczych, jaknajszybszego unormowania stosunków sąsiedzkich. W tych, niestety nielicznych, kołach przybysz z Polski czuje się dobrze. Tu bowiem, zamiast fanatycznego uporu znajduje się racjonalny stosunek do zagadnienia, ważnego przede wszystkim — dla Litwy. Za to drugą, o wiele liczniejszą kategorię stanowi nowe pokolenie Litwinów, tych co z ludu wyrośli, uroiwszy sobie rzekome krzywdy, doznawane od polskich obszarników, z którymi do wprowadzenia reformy rolnej sąsiadowali o miedzę. Dzisiaj, kiedy nierówność posiadania istnieć przestała a stuhektarowe resztówki byłego ziemiaństwa polskiego nie mogą już budzić zazdrości, wysuwa się inne zarzuty, tak przepojone tanim szowinizmem, że nie warto o nich pisać. Co smutniejsze, ten odłam społeczeństwa, znajdujący się obecnie w „znakomitej” większości, posiada w swoim gronie cały szereg renegatów — eks-księży, którzy po ukończonej „robocie” litwomańskiej uznali za korzystniejsze dla siebie wyzbycie się religijności i rzucenie w wir polityki. Aż się roi w rządzie kowieńskim od tych renegatów; stanowi to niespotykane gdzieindziej, jakże znamienne dla Litwy zjawisko.

W jednej z najbardziej uczęszczanych kawiarni kowieńskich, „Kawine Aldona”, przyglądam się zbliska tak zwanej elicie towarzyskiej stolicy. Sądząc z ubioru, możnaby wnioskować o zamożności, za to różnojęzyczność zdradza, że bywają tu najliczniej wyższe sfery urzędnicze oraz korpus dyplomatyczny. Dużo pism, zaczynając od urzędowego „Lietuwos Aidas”, kończąc zaś dziesiątkami przeróżnych „magazynów”, ulotek humorystycznych i — oczywiście „*revues*” zagranicznych. Publiczność kowieńska lubi snać czytać, spędza ona w kawiarni zazwyczaj godziny popołudniowe, co jest zjawiskiem normalnym. Zrana w „Kavinie” jest pusto, wieczorem również, gdyż inteligencja kowieńska tłumnie zapełnia teatry — operę i dramat, mieszczące się wspólnie w skromnym budynku zdala od centrum miasta.

Osobliwością jest dla mnie ogromny pęd do nauki. Młody uniwersytet im. Witolda liczy z górą 5.000 akademików, co jest cyfrą bardzo znaczną zarówno w stosunku do stukilkunastu tysięcy mieszkańców Kowna, jak do 2,8 milionów ludności kraju. Gmach centralny Uniwersytetu nie wystarcza już na pomieszczenie wszystkich wydziałów. Kilka z pośród nich mieści się przeto w różnych punktach miasta. Rzeczą wartą podkreślenia jest, że z liczby wspomnianych 5 tysięcy akademików przeszło 80% stanowią włościanie oraz że przeszło połowa to dziewczęta. W chwili

obecnej nie ma jeszcze na Litwie mowy o nadprodukcji inteligencji.

Rozrost spółdzielni, liczących jak „Pienocentras" (przetwory mleczne) przeszło 300 filii w najdalszych zakątkach kraju, litwinizacja okręgu Kłajpedy, sprawa reformy rolnej — wszystko to wymaga nowych sił pionierskich o wyższym specjalnym wykształceniu. Dostarcza ich corocznie wszechnica kowieńska, jeśli zaś idzie o dziedzinę sztuki — konserwatorium i akademia malarstwa i rzeźby. Młodzież litewską cechuje nietylko wspomniany już pęd do nauki ale i duże zdolności w kierunku artystycznym. Drogowskazy i figury święte, widziane przeze mnie na rozstajach dróg wiejskich były snać pierwowzorem w dziedzinie rzeźby — w następnym, obecnym pokoleniu przeszły już one jako tematy w ręce rzetelnych artystów z Rymozą na czele. Podobnie i muzykalność ludu litewskiego (Litwa posiada kilkadziesiąt tysięcy „*daju*" czyli pieśni ludowych) stała się podstawą do rozwoju wokalnego muzyki litewskiej.

To, co powstało w ostatnich latach na asfalcie nowego Kowna znajduje swoje uzasadnienie w życiu i psychice wsi, w jej dążeniach i wybitnym umiłowaniu sztuki. To też, syt wrażeń intelektualnych odniesionych w stolicy, udałem się na wędrówkę po prowincji, docierając aż do najdalszych zakątków kraju, aż do uroczej Połągi, o której pisał Mickiewicz z przejęciem w swojej „Grażynie".

O tym, jakim jest lud litewski, co myśli i jak pracuje — opowiem czytelnikom innym razem.

W—b

DWIE MONOGRAFIE

KONRAD KORZENIOWSKI I WŁ. ST. REYMONT

KSIĄŻKA Józefa Ujejskiego, („O Konradzie Korzeniowskim". Warszawa, 1936. Dom Ks. Poi. Str. 299 + 2 nlb. + 1 portret) nie jest w pełnym tego słowa znaczeniu monografią, ani biografią, ale próbą dotarcia do zjawiska arcyciekawego i jako człowieka i jako pisarza, któremu na imię — Conrad. Jest to próba uświadomienia sobie tych reakcyj, które wywołuje lektura dzieł autora „Lorda Jima". Autor stara się to zjawisko zrozumieć poprzez lekturę jego dzieł oraz listów i rozważanie dziwnych przygód jego życia. Niedwuznacznie ze studium wynika przynależność Conrada do literatury polskiej, aczkolwiek Korzeniowski posługiwał się językiem angielskim. Ci, którzy wspaniałomyślnie zrzekają się Korzeniowskiego na korzyść literatury angielskiej, nie mają, zdaniem Ujejskiego słuszności. Nie mniej należy też Conrad i do literatury angielskiej. Dokonała się tu ciekawa bardzo przemiana duchowa człowieka, który nie przestał czuć po polsku, a myślał w języku angielskim. Styl jego i język angielski to jedna z przedziwności, jak to uznają krytycy i jego biografowie.

Jako człowiek pozostał Conrad zagadką nie tylko dla otoczenia najbliższego ale i dla siebie, a wywierał na najbliższych wrażenie wielkości i geniusza. W pojmowaniu sztuki podobny jest do Z. Krasińskiego, u obu brak humoru. Sztuka to narzędzie dotarcia do jądra rzeczywistości i istoty bytu. Istotnym zadaniem artysty dać wizję człowieka, zdarzeń i świata.

Dużo u Conrada elementu romantycznego, przedewszystkim głębokie poczucie honoru i wierności w spełnianiu obowiązków. Jako człowiek łączył w sobie element władczy i rozkazujący wraz z dziwnie kobiecą i miękką naturą... Dogłębne badania Ujejskiego odkrywają w pewnych postaciach i ich przeżyciach refleksy losu samego Korzeniowskiego. W tym znaczeniu cała twórczość Konrada będzie komentarzem do jego życia.

W bardzo cennym rozdziale o stosunku Conrada do Polski przedstawia autor jego wypowiedzi na temat Polski i jej przyszłości, jego pesymizm w ujęciu zagadnień politycznych, jego głęboką nienawiść do Rosji. Patriotyzm Conrada był raczej biologiczny najlepszego gatunku. Dopiero żywioł morski, dopiero obce, egzotyczne środowiska, obce morza i lądy uświadomiły w nim pisarza. Charakterystyczną cechą jego duszy to niepokój i obawa raczej niż nadzieja i ufność.

Według Conrada dolę ludzką determinują z jednej strony żywioły pozaludzkie, z drugiej zaś natura ludzka zmieniająca tylko formy swych przejawów, ale nigdy swojej istoty. Dlatego nie uważa za rzecz pożądaną i zbawienną narzucanie ludzkości jakichś ustrojów abstrakcyjuych, np. socjalistycznego. Był przeciwnikiem egalitarnego społeczeństwa. Przywiązanie do indywidualnej swobody życia wynikało z dziedzicznych dyspozycyj szlachcica polskiego. Nacjonalizm Conrada był romantyczny, gdyż poddawał narody wyższym ponad ich interesy nakazom etycznym. W jego koncepcji świata możemy dostrzec autropomorfizm albo ściślej egomorfizm. Conrad, który sam tworzył „widowiska, budzące grozę, miłość... ale nie mające bezpośrednio moralizującej tendencji, tak mógł sobie wyobrażać tworzenie wielkiego, tragicznego widowiska, które nazywamy wszechświatem. Według niego uczucia (wzruszenia) są czymś bez porównania bliższym „prawdy„ niż myśli. Myśli, idee, sądy, są zawsze czymś wtórnym, pochodnym, są powierzchnią, maską jakichś uczuć. Sama logika wydawała mu się pewną formą uzewnętrznienia się temperamentu i dyspozycji uczuciowych. Dziwnie bliskim w tym względzie wydaje mu się Maine de Biranowi zwłaszcza z końcowej epoki tego największego po Kartezjuszu filozofa francuskiego. Obaj oni w uczuciach widzą lepsze narzędzie dotarcia do prawdy, ba, obaj uważają, że pełnię człowieka tworzy dopiero działanie. Granice rozumu obaj uważali za ciasne, siłę jego za niedużą. Jest jednak i głęboka między nimi różnica. Otóż u Maine de Birana ogromnie mało miejsca widzimy poświęconego — obowiązkowi, podczas gdy według Conrada świat cały stoi oparty na kilku wyobrażeniach prastarych, a przedewszystkim na wyobrażeniu wierności szczególnie samemu sobie. To różnica zasadnicza między tymi dwoma wielkimi duchami.

Artysta, zdaniem Conrada, przemawia do tej części naszego jestestwa, która nie jest zależną od zmieniającej się wiedzy, części, która jest nie-

zmienna. Działa na świadomość tajemnicy przenikającej nasze istnienie, na odczucie litości i piękna i bólu; na tajną bliźnią więź, łączącą nas z wszechświatem. I znowu pogląd ten zgodny jest z Maine de Birana ujęciem roli człowieka we wszechświecie, w którym człowiek pospołu z naturą—*gemit*. Rodzi się stąd głębokie poczucie solidarności, które jednoczy człowieka ze wszystkim. Według Conrada nie można oddzielić — podobnie jak u Krasińskiego, kryteriów estetyczaych od etycznych i poznawczych.

Według Conrada powieść nie powinna być tylko narracją, albo relacją zdarzeń, tylko jakby odtworzeniem procesu ich przypominania sobie przez autora. Pisze on jak widział ludzi i zdarzenia. Podobnie Słowacki tworzy osoby wyposażone we wnętrzną siłę żywota. Chodzi mu nie tyle o fakty, ile o sam nastrój, o atmosferę dzieła. Świat jego powieści jest ogromnie rozległy w przestrzeni. Piewcą morza właściwie nie był, interesował go przedewszystkim człowiek i — okręt. Człowieka kochał, uczucie nienawiści nigdy jego piórem nie kierowało.

Celem studium Ujejskiego było głębokie wniknięcie w duszę Conrada. Dał nam autor wizerunek człowieka i artysty, a są to właściwie dwie strony jednego zjawiska, nie można bowiem oddzielać jednego elementu od drugiego. Twórczość bowiem Conrada to nie snobizm, nie przez wypadki, modę lub względy praktyczne narzucone zajęcie, to najgłębszy, biologiczny wyraz jego osobistości. Należy Conrad do tego typu twórców, co Mickiewicz, którzy są mitotwórcami, kształtującymi nowe formy bytu. Nie oddziela się tu słowo od czynu, artysta i człowiek to jedno i to samo. Ludzie Conrada żyją więcej uczuciem i wzruszeniem, niż intelektualnie, jak ich twórca. Na szczególniejszą uwagę i wyróżnienie zasługuje cześć Conrada dla słowa. Słowo podobnie jak dla Norwida jest skrótem i symbolem bogatego procesu dokonywującego się w duszy bohaterów.

*

Mocno związał Julian Krzyżanowski (Władysław St. Reymont. Twórca i dzieło. Lwów. Ossolineum, 1937. Portret + str. VIII + 212), autora „Chłopów" z epoką, pokazał różnorakie jej przęsła i nici, które zbiegały się w dziele Reymonta; nie mniej dokładnym i przekonywującym jest w przedstawieniu tradycji literackiej, bliższej i dalszej. Ale najistotniejszą zdobyczą w pracy Krzyżanowskiego to charakterystyka tego dynamizmu twórczości Reymonta, który decyduje o jego wartości i znaczeniu nietylko w literaturze polskiej, lecz i w powszechnej. Wykazał on w dziele swym nie tylko konieczny zresztą dług spłacony epoce, ale i elementy prekursorskie; z tych powodów zrozumiemy też łatwo, dlaczego nie Żeromski, wielki spowiednik duszy narodowej i moralista, ale Reymont będzie aktualny i zrozumiały w literaturach zachodu. W dziele bowiem uwieczniony będzie człowiek nie z aspektu przemijającego, ale utrwali w nim własności łatwo wpadające w oczy. To przedewszystkim bogaty świat doznań zmysłowych idących od świata zewnętrznego; czytanie jego dzieł potęguje naszą radość życia i pogłębia zmysł życia przez sam fakt narzucania nam tej wizji życia. Nie będziemy mieli jak u Conrada w dziele Reymonta dociekań nad duszą ludzką, nie ma tu rozważań filozoficznych, ale czysto sensytywny, a wysoce dramatyczny obraz sił, które tworzą pełnię życia.

Dzieło Krzyżanowskiego wnikliwe i głęboko sięga w istotę talentu Reymonta, a w metodzie badania nowel i powieści ustrzegł się autor przesady schematyzacji Dibeliusa i jego naśladowców. Wychodzi tedy z pod pióra profesora warszawskiego niezmiernie plastyczny obraz dzieła i twórcy. W dziele widzi odbicie dziwnych przygód życiowych Reymonta, ale i samorodną osobowość, która potrafiła doznania swoje w generalny sposób na dzieła sztuki przetwarzać. Długo szukał Reymont siebie, przez długie lata, nawet już jako pisarz nie był jeszcze świadomy swych mocy twórczych, dopóki nie znalazł się jako pisarz na drodze twórczości epickiej najbardziej mu odpowiedniej. Pasjonowały go nie tyle roztrząsania estetyczne, polityczno-społeczne lub filozoficzno-religijne, jak u Przybyszewskiego, Berenta, Orzeszkową czy Żeromskiego, ile samo rozlewne życie z jego wielobarwnością, ruchem, masą osób. Wprawdzie i w jego powieściach oraz nowelach znajdzie się i te pierwiastki, ale nie będą to istotne składniki tego dzieła.

Ulegnie on nakazowi epoki, i on będzie jak Wyspiański i Żeromski analizował duszę narodową (trylogia o Roku 1794). I jeżeli styl pojmować będziemy dynamicznie jako objaw starcia się osobowości z siłami ponadosobowymi, to twórczość Reymonta da wyraz przedewszystkim jego własnym nakazom wewnętrznym, które go doprowadzą do napisania powieści prawdziwie europejskiej, jaką są „Chłopi". Trzonem podstawowym jego twórczości będą przede wszystkim sprawy przez niego samego widziane, przeżyte i odczute. Powieści takie jak „Komediantka" i „Fermenty" będą poza wartościami artystycznymi przedstawiały także wartości dokumentów epoki minionej życia prowincji. Cechą charakterystyczną autora „Chłopów" będzie chwytanie psychiki mas i kompozycja panoramiczna, cecha ta pojawi się w „Pielgrzymce na Jasną Górę". Wcześnie też ujawni się niechęć ku wielkiemu miastu jak Wiedeń, Monachium i Paryż, co tak jaskrawo okaże się w „Ziemi Obiecanej". W pierwszych powieściach zespoli się technika naturalistyczna z symbolistyczną.

W „Ziemi Obiecanej" w konstrukcji panoramicznej przedstawia plastycznie trzy światy: niemiecki, żydowski i polski. Praca szatańska i praca Boża — to antynomia. Nie autora wina, że świat ten ujemnie wypadł w ocenie jako „przeklęte miasto", co nie jest obce w epoce Ruskina i Morrisa. Antyindustrialistyczne stanowisko pierwszy określił Matuszewski, konfrontując powieść Reymonta i dzieła Hobsona. Reymont w tym względzie różni się od Prusa, który szczepił u nas zrozumienie świata pracy i jego poezji.

Potępiwszy pracę fabryczną, miejską, musiał Reymont przejść do apoteozy pracy wiejskiej w „Chłopach". Struktura tej tetralogii dramatyczna i kronikarska, ośrodek zaś akcji to motyw ogólnoludzki, incestu. Aspekt na świat chłopów — panteistyczny; chłopi stają się światowymi współuczestnikami i współtwórcami dziejów narodu. Oś artystyczną „Chłopów" stanowią wielkie problemy etyczne rozwiązywane przez jednostki i zbiorowiska. Krzyżanowski dopatruje się w tej powieści pogłosów i „Pana Tadeusza" i „Georgik", „Enejdy", a nadewszystko widzi w niej Hezjodowe

„erga kaj hemeraj”. Żywioł ludzi i przyrody przekształca się w pewnym momencie w obraz symboliczny, tłum w chacie weselnej zgromadzony jednoczy się z żywiołami pozaludzkimi, z przyrodą, w jakiś potężny strumień ujścia przepływający przez wszechświat. Ten aspekt ujęcia jedności bytu, z natury czysto-liryczny, jeśli chodzi o stronę przeżycia autora, nie stoi w sprzeczności z charakterem epickim dzieła.

Prawdziwym majstersztykiem Krzyżanowskiego to analiza kompozycji „Chłopów”. I w elementach kompozycyjnych i w nastroju widzi charakter homerycko-mickiewiczowski oraz sienkiewiczowski, osadzając w ten sposób zwarcie i przekonywująco bogatą tradycję oraz kulturę literacką, z której tetralogia wyrosła. Może więcej chcielibyśmy słyszeć o samej osobowości twórcy, o ile ona w dziele się ujawnia, a której najcharakterystyczniejszym objawem — styl. Wstawki liryczne uważa autor za dług spłacony nie tylko swej epoce, ale i tradycji literackiej epicznej. Dowód to, że Reymont wyznawał katechizm estetyczny swego czasu.

W „Roku 1794” tendencją było stworzenie „misterium życia polskiego”, na wzór Żeromskiego. Romans to jak „Ziemia Obiecana’’ z bohaterem zbiorowym. Podnosi monografista szczególnie „Insurekcję” z powodu opisów walki rewolucyjnej. Nowele Reymonta to albo szkice przygotowawcze do powieści, albo okruchy motywów zaniedbane przez powieść.

Spostrzeżenia Krzyżanowskiego zadziwiają swoją prostotą i trafnością, jak np. gdy zestawia niektóre sceny batalistyczne Reymonta z atmosferą popularnej oleodrukowej batalistyki. Świadczy to o świeżości wyczucia charakteru dzieła. Tak samo wykazuje autor dużą skalę porównań z zakresu literatury powszechnej.

Autor widzi 3 rodzaje stylu Reymontowego: prosty, pełny i przeładowany, które poddaje sumiennej, a wnikliwej analizie. Ma w uchu nie tylko pogłosy mowy, a w oku świat wizyj Reymonta, ale i całej tradycji literackiej, z której utwór dany soki czerpał, wszystko jedno: świadomie, czy nieświadomie. Właśnie im bardziej i głębiej twórca poddaje się natchnieniu, tym bogaciej występują wśród jego środków ekspresji sposoby przejęte z tradycji literackiej. Weszły one w miąższ i rdzeń pacierzowy twórcy. I w tym zakresie styl Reymonta w ścisłej pozostawał łączności z epoką. Reymont był to typ wybitnie cynestezyjny, łatwo kojarzący wyobrażenia różnorodne, podobny w tym do Żeromskiego. Nie bez wpływu było także malarstwo impresjonistyczne z *„plein air’yzmem”*. Istota najgłówniejsza jego stylu w tym tkwi, iż nie licząc się z istniejącym konwenansem literackim, przełamywał go, a pokoleniu narzucał swoją wizję świata.

Grodzisk Poznański JAN ŚWIERZOWICZ

KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI
JAKO PISARZ NARODOWY

(Dokończenie)

4. SPOŁECZNE POGLĄDY

PO NASZKICOWANIU sylwetki Rostworowskiego jako pisarza katolickiego i narodowego przechodzę obecnie do przedstawienia jego niesłychanie ważnej i ciekawej roli jako pisarza społecznego.

Społeczne poglądy Rostworowskiego wypływają konsekwentnie z jego narodowego i katolickiego poglądu na świat. Jako wierny syn Kościoła, mając we krwi wzniosłe zasady etyki chrześcijańskiej, autor „Miłosierdzia” czuł ogromną odrazę do tych wszystkich prądów, które pod „fałszywymi hasłami” równości, wolności i braterstwa szerzą demagogię, terror i nienawiść, a pod pozorem rzekomej „demokracji” karmią naród wiecowym kłamstwem [19]).

Ustrój społeczny pragnie Rostworowski oprzeć na zasadach chrześcijańskiej sprawiedliwości społecznej. Potępia zarówno przywileje klasowe jak i walkę klas.

„Ponieważ naród—pisze poeta — jest zbiorowiskiem ludzi, należących do różnych klas, przeto rozbijanie tego zbiorowiska na walczące ze sobą obozy jest jednocześnie rozbijaniem narodu i zamienianiem go w szereg partyjnych bojówek, z których rodzi się anarchia. Program narodowy musi więc głosić solidarność klas, opartą na sojuszu kapitału z pracą” [20]).

Dla wszystkich uciśnionych, znękanych pracą fizyczną i biednych ma poeta serce otwarte. Jak rzadko kto umie autor „Miłosierdzia” odczuć niedolę proletariatu.

Socjalizm i komunizm uważa Rostworowski za szkodliwy dla samego ludu roboczego. Poeta potępia wszelkie zamachy na własność prywatną; uznaje dopuszczalność wywłaszczenia tylko za odszkodowaniem i tylko w tym wypadku, jeśli stąd może wyniknąć moralna i materialna korzyść całego społeczeństwa. Dążenie do zubożenia klas posiadających, uważa poeta za dążenie do zubożenia ludu roboczego [21]).

*

Wstrząśnięty do głębi okropnościami rewolucji bolszewickiej zaczął poeta badać to, co nazwałbym „techniką urządzania rewolucji”.

Wynikiem tych dociekań jest misterium „Miłosierdzie” [22]), najpotężniejszy dramat społeczny w literaturze polskiej od czasu „Nieboskiej komedii” Krasińskiego.

Poeta przedstawia w „Miłosierdziu” grozę rewolucji socjalnej. Przyczyną wybuchu rewolucji jest różnica majątkowa między ludźmi i chciwość. Jedna z osób dramatu, Uczony, będący uosobie-

[19]) Swoje poglądy sformułował Rostworowski w „Odezwie”, wydanej przez niego jako prezesa Straży Narodowej w Krakowie w maju 1926 r.

[20]) „Naczelne idee Bloku Katolicko-Narodowego”.

[21]) „Odezwa”.

[22]) „Miłosierdzie *(„Charitas”)*, misterium w trzech obrazach z prologiem, Kraków, 1920; p. również artykuł Rostworowskiego p. t. „Po premierze Miłosierdzia” w Warszawie, „Tygodnik Ilustrowany” r. 1920, str. 827.

niem nauki, opartej na zimnym rozumowaniu, obserwując rewolucję, tak rozumuje:

„Każdy człowiek pragnie — w naturze to leży
jak najwięcej jadła, picia i odzieży
i dlatego też zazdrości
sąsiadowi majętności
skłonny do grabieży"

Porwany rewolucyjnym szałem motłoch skazuje Miłosierdzie na ukrzyżowanie. Lecz, zamiast osiągnięcia spodziewanych korzyści, tłum popada w skrajną nędzę i wtedy pragnie powrotu Miłosierdzia. Miłosierdzie zmartwychwstaje, lecz cóż z tego, kiedy współczesny człowiek tak jest zarażony materializmem, że miłość nie może trwale zamieszkać na ziemi i skutkiem tego ludzkość znajduje się w błędnym kole.

Zagadnienie rewolucji społecznej porusza Rostworowski także w „Strasznych dzieciach[23]), odkłada jednak na bok cały jej tragizm, a nadaje jej formę alegoryczną, ubraną w szatę barwnego widowiska. Do rewolucji pcha ludzi niezadowolenie ze swego losu [24]) i chęć używania bez pracy. Ludzie uganiają za pustą chimerą szczęścia (Fufą), a nie mogąc jej osiągnąć, wzniecają lekkomyślnie pożogę rewolucyjną i sami w niej giną.

Krwawe wypadki listopadowe w Krakowie, w których polała się krew polskich ułanów, mordowanych z ukrycia przez socjalistów, wywarły silne wrażenie na Rostworowskim. Poeta postanowił wstrząsnąć sumieniem polskiego społeczeństwa i ostrzec go przed niebezpieczeństwem rewolucji komunistycznej. W roku 1925 wychodzi w Krakowie drukiem tragedia „Antychryst", w której autor maluje wizję przewrotu komunistycznego. Tymi, którzy rewolucję przygotowują i są właściwymi jej przywódcami, są żydzi.

Jak już wspomniałem, Rostworowski oddaje się studiom nad „techniką" wybuchów rewolucyjnych. Na podstawie tych studiów robi poeta spostrzeżenie, że

„wybuchy rewolucyjne (zarówno jak wojny) wchodzą w skład niezmiennych praw życia zbiorowego i podlegają również niezmiennym prawom rewolucyjnej natury" [25]).

„Każda rewolucja wydawała ze swojego łona swojego pogromcę" pisze dalej poeta. Rewolucja francuska zakończyła się Napoleonem „prostującym ścieżki" przed Ludwikiem XVIII; tego rozwiązania" nie unikną również Sowiety.

Drugą cechą rewolucji jest to, że raz rozpoczęta nie zatrzymuje się na pewnym poziomie, lecz toczy się jak lawina, zmiatając z powierzchni ziemi tych, którzy nie mogą jej dotrzymać kroku.

Poeta widzi analogię między arystokracją sprzed roku 1789, a dzisiejszą burżuazją.

„Ponieważ oblicze arystokracji francuskiej jest obliczem dzisiejszej burżuazji, chcę przeto użyć rewolucji jako zwierciadła, w którym się może współczesność przeglądać. Trzeba bowiem bronić społeczeństwo przed samobójstwem, trzeba iść naprzeciw złu z zasadami napoleońskimi, trzeba się bronić przed rewolucjami, które robione są zawsze przez zorganizowaną mniejszość" [26]).

Tym „zwierciadłem" jest „Czerwony marsz [27]), w którym Rostworowski dał w formie scenicznej syntetyczny skrót wielkiej rewolucji francuskiej. Ofiarą rewolucji pada naprzód król i arystokracja; nastroje rewolucyjne potęgują się i przychodzi kolej na umiarkowanych republikanów, żyrondystów; po żyrondystach fanatyczny tłum skazuje na śmierć Dantona, a w końcu ofiarą rewolucji pada sam — Robespierre. Rewolucja doprowadza ostatecznie do tego, że ludność popada w nędzę, jest naga, głodna i bez pracy. Przybywa Napoleon, przywitany przez Cambacérèsa słowami:

„Sire! — Najjaśniejszy Panie!
Cały lud, zgięty pod jarzmem wolności!
której udźwignąć nie był w stanie,
sercami drogę ci mości,
rzuca się w twoje ramiona
i na cześć cesarza Napoleona
wznosi okrzyk:
Niech żyje!" [28]).

Pod względem ujęcia przebiegu rewolucji „Czerwony marsz" przypomina „Miłosierdzie". Oba te utwory, jak również „Antychryst", powinny być jak najbardziej spopularyzowane w polskim społeczeństwie, jak najczęściej grane w polskich teatrach, aby ci, którzy tak lekkomyślnie igrają z prądami i hasłami rewolucyjnymi, mieli możność poznania wszelkich — przez nich napewno nieprzewidzianych i niezamierzonych — następstw przewrotu.

5. ZNACZENIE ROSTWOROWSKIEGO

Jako budziciel sumienia narodu ma Rostworowski wielkie znaczenie zarówno dla obecnych, jak i dla przyszłych pokoleń. Przemówił do narodu silnym głosem, użył swego niepospolitego talentu, aby rodakom wskazać właściwe drogi, ostrzec ich przed niebezpieczeństwami — przede wszystkim nauczyć ich myśleć...

Rostworowski pragnie czytelnika i widza przekonać, chce trafić do jego rozumu. Słusznie też uważany jest za jednego z najwybitniejszych intelektualistów w literaturze polskiej.

Cała konstrukcja myślowa jego poglądu na świat jest jednolita, pod każdym względem logiczna i architektonicznie zbudowana we wszystkich szczegółach bez zarzutu.

W całej twórczości Rostworowskiego nie ma ani sprzeczności, ani jakichś załamań czy zwątpień, tak często spotykanych u literatów.

Ale też jest spoidło, które gmachowi myśli, przekonań i wierzeń wielkiego dramaturga nadaje trwałość, odporną na wszelkie fale i burze; tym spoidłem jest — uczucie...

Uczucie miłości Boga i Ojczyzny...
Uczucie miłości bliźniego...

Dzięki tej potędze uczucia, która przenika twórczość Rostworowskiego, wywiera on wielki wpływ na młodzież.

I ten właśnie wpływ uprawnia do nadziei, że głos znakomitego dramaturga nie będzie głosem „wołającego na puszczy".

TADEUSZ MILDNER

---

[23]) „Straszne dzieci", bajka w trzech aktach, Warszawa, 1922.

[24]) Problem niezadowolenia człowieka ze swego losu, zazdroszczenia drugim i „patrzenia wyżej nosa" ujął Rostworowski ze stanowiska psychologicznego i społecznego w dramacie „Pod górę", napisanym w r. 1910.

[25]) „Na temat wycieczki dziennikarzy polskich do Czechosłowacji", „Trybuna Narodu" nr 22, czerwiec 1927.

[26]) Wywiad ogłoszony w Gazecie Warszawskiej z 6 marca 1928 r.

[27]) „Czerwony marsz", Kraków 1936.

[28]) Są to autentyczne słowa, wypowiedziane przez Cambacérèsa do Napoleona.

Z CYKLU: POLSKA NA MORZU

UDZIAŁ FLOTY HOLENDERSKIEJ W WOJNIE POLSKO-SZWEDZKIEJ 1655–1660

(C. d.)

IV

NIEBEZPIECZEŃSTWO zatargu z Holandią zostało w ten sposób zażegnane. Z Karolem Gustawem układali się Holendrzy, jako z monarchą, władającym Bałtykiem, i uzyskali to, czego chcieli.

Szwedzi widzieli z zadowoleniem opuszczającą morze Bałtyckie flotę holenderską, która zawinęła po raz pierwszy w te strony dla obrony interesów obywateli Stanów Generalnych. Swoją drogą zarówno zjawienie się eskadry holenderskiej, jak ukazanie się pod Gdańskiem eskadry duńskiej, były tem groźnem *memento*, które wskazywało, że Sztokholm powinien mieć na uwadze możliwość komplikacyj morskich. A komplikacje na Bałtyku stawiały pod znakiem zapytania komunikację miedzy Szwecją, a jej wybrzeżem pomorskiem i liwońskiem.

Tymczasem choć na morzu były sprawy jako tako zażegnane, na lądzie szło coraz gorzej. Za cofającą się z pod Warszawy armią szwedzką i wojskami elektora ukazały się w Prusach Królewskich i Książęcych, oddziały polskie, prowadzone przez niestrudzonego Czarnieckiego, a do Liwonii wdarła się Moskwa, idąc wprost na Rygę. Car Aleksy chciał wykorzystać chwilę odpowiednią i wolał zawrzeć pokój z zaczynającą zwyciężać Rzeczpospolitą, aniżeli trwać w zawieszeniu broni z zaczynającymi przegrywać Szwedami. Zachwiał się również w niedawnej wierności zdradziecki zawsze elektor brandenburski. Karol Gustaw atoli znów nie dał za wygraną i, choć w szeregach szwedkich w Prusach zostało tylko 7.000 wynędzniałego żołnierza, a w głębi Rzeczypospolitej trzymały się z nadludzkim wysiłkiem załogi szwedzkie w Krakowie, Łowiczu i Toruniu, zaczął się szykować do nowej czwartej z kolei ofensywy w głąb Polski. Do kampanii tej znalazł sprzymierzeńca w osobie księcia Jerzego Rakoczego, pana Siedmiogrodu, który wystąpił z pretensjami do tronu polskiego. Na początku nowego 1657 roku rozpoczęły się działania wojenne. Karol Gustaw, zorganizowawszy i uzupełniwszy z nadludzkim wysiłkiem przerzedzone szeregi szwedzkie, ciągnął z Prus Książęcych, a książę Rakoczy, przekroczywszy południową granicę Rzeczypospolitej, maszerował wdłuż Karpat na obsadzony przez załogę szwedzką Kraków. Obaj sprzymierzeńcy, nie doznając wielkich przeszkód ze strony polskiej, (Jan Kazimierz działał na wyczerpanie przeciwnika), spotkali się pod Opatowem i ruszyli na Brześć n/B. Rakoczy wprowadził do 60.000 ludzi (Węgrów i zbuntowanych kozaków), król szwedzki miał pod komendą kilkanaście tysięcy żołnierza. Armie polskie otaczały te siły szerokiem kołem, zwężając je zwolna. Brześć n/B. został zajęty przez sprzymierzeńców szybko i łatwo, lecz w tem, jak grom z jasnego nieba, spadła wieść w dniu 7 maja, że Dania wypowiedziała wojnę Szwedom. Było to mistrzowskie posunięcie Holendrów, którzy, nie dowierzając bardzo zawartym przed paroma miesiącami układom elbląskim, chcieli podciąć stanowczo i skutecznie potęgę szwedzką, która stawała się coraz niebezpieczniejsza dla interesów Stanów Generalnych na Bałtyku. Teoria o „*mare clausum*”, głoszona wyraźnie przez Sztokholm od czasów Gustawa Adolfa, spędzała sen z powiek holenderskim mężom stanu, będącym jednocześnie wszechświatowymi kupcami.

Dania była w formalnem przymierzu z Holandią, każda ze stron obiecała dać do dyspozycji swemu aliantowi 6.000 ludzi. Jednakże król duński, Fryderyk III-ci, postanowił wszcząć akcję wojenną, nie czekając na przybycie posiłków holenderskich. Moment wydawał się bardzo odpowiedni, bo wszystkie siły szwedzkie pod Karolem Gustawem były zaangażowane w głębi Rzeczypospolitej i otoczone przez wojska Jana Kazimierza. Uderzenie na Szwecję wydawało się łatwe i pewne w skutkach. Holendrzy znów nie bardzo nalegali na dwór kopenhaski, aby zaczekał na nadejście posiłków holenderskich, bo woleli zwalczyć Szwedów cudzemi rękami. Kroki wojenne zaczęły się w połowie czerwca.

Duńczykom szło przedewszystkiem o zajęcie terytorium nieprzyjacielskiego. W związku z tem z Kopenhagi, będącej główną kwaterą Fryderyka III-go, nastąpiło jednoczesne uderzenie w cztery strony duńskich wojsk lądowych, a w dwie duńskiej marynarki wojennej, Jedna armia pomaszerowała przez Jutlandię ku ujściom Łaby, mając zająć szwedzką podówczas Bremę; druga wyszła ze Skonii, idąc na Sztokholm; trzecia udała z duńskiej podówczas Chrystanii (dziś Oslo), dążąc do opanowania szwedzkiej prowincji Bohuslän, czwarta wreszcie weszła do prowincji Tronthjem w środkowej Norwegii. Poza tem na półwyspie Jutlandzkim stanął odwód. Łącznie armia duńska liczyła 45.000 ludzi, rozdrobniła się więc w najwyższym stopniu. To samo było z marynarką wojenną; główne siły (40 okrętów) udały się pod Bornholm i wydzieliły ze swego składu 19 jednostek, które zawinęły do Gdańska; mniejsza eskadra, złożona z 7 okrętów, stanęła w Kategacie naprzeciwko szwedzkiego Göteborga, a drobne oddziały rozsypały się po Kategacie i zajęły ujścia Łaby oraz Wezery. Rozstrzelenie sił morskich było zupełne. Jedyne wyraźne zadanie miała eskadra, stojąca w Gdańsku, którą dowodził admirał Bjölke i na której znajdował się własną osobą król Fryderyk III-ci. Zadaniem Bjölke'go było przeszkodzić armii Karola Gustawa przeprawić się do Sztokholmu, o ileby monarcha szwedzki skierował marszrutę swego spodziewanego odwrotu na Gdańsk.

Tymczasem sprawy przybrały zupełnie inną postać, aniżeli myśleli duńscy strategicy. Karol Gustaw rzeczywiście na pierwszą wieść o wypowiedzeniu wojny przez Danję opuścił Brześć n/B. udając się z księciem Rakoczym do Warszawy, opuszczonej przez wojska polskie. W Warszawie sprzymierzeńcy rozstali się: pretendent do tronu polskiego ruszył ze swemi oddziałami na południe i został doszczętaie zniesiony przez armię Jana Kazimierza, która czyhała na niego na Rusi Czerwonej, a monarcha szwedzki poszedł forsow-

nym marszem z powrotem do Prus Książęcych pod osłonę swej floty. W Prusach jednakże elektor Fryderyk Wilhelm wszczął już niedwuznaczne rokowania z Warszawą o przejście na stronę polską, więc Karol Gustaw skierował czemprędzej swoje wojka nie na Gdańsk, lecz na Szczecin, tj. swój dawny punkt wypadowy z przed dwóch lat. Armia szwedzka stanęła na Pomorzu Nadodrzańskiem na początku lipca, poczem idąc wciąż śpiesznym marszem wzdłuż wybrzeża, wkroczyła do Holsztynii, a do sierpnia znalazła się w duńskiej Jutlandii. Szwedzi uderzyli na ich własnem terytorium.

Co prawda, to Szwedzi wynieśli się z Polski, która tymczasem szybko zawierała przymierza zaczepno-odporne z cesarzem Leopoldem I-ym (27 maja 1657 r.), z Danią (28 lipca 1657 r.) i z elektorem brandenburskim (17 października i 6 listopada 1657 r.), puszczając swemu zdradzieckiemu lennikowi w niepamięć wszystkie jego przeniewierstwa i krzywoprzysięstwa i zwalniając go na zawsze z hołdu z Prus Książęcych. Przymierza te formowały znaczną armię koalicyjną, która miała ścigać Karola Gustawa i podać rękę wojskom duńskim w Jutlandii. Rzeczywiście, kawaleria polska pod Czarnieckim późną jesienią wtargnęła na szwedzkie Pomorze Nadodrzańskie, lecz wojska cesarskie i elektorscy nie nadążyły na czas, więc dywersja polska ograniczyła się jedynie do zagonu kawaleryjskiego, bez opanowania twierdz, a tembardziej dotarcia do Jutlandii.

Karol Gustaw zaś zajął całą Jutlandię; wojska duńskie na wszystkich czterech teatrach (bremeńskim, skońskim, południowo i środkowo-norweskim) zostały odparte; Szwedzi zaczęli szybko przygotowywać się do działań zaczepnych, mając jako obiekt główny, Kopenhagę. Główna kwatera została założona w Wismarze (dawny słowiański Wysomierz), przed którym stanęła na obserwacji cała zgromadzona na łeb na szyję flota duńska z pod Gdańska, Bornholmu i Göteborga. Przeciwko tej flocie poruszył Karol Gustaw swe siły morskie, skoncentrowane od czasów jego ostatniego odwrotu z Polski w Sztokholmie.

W końcu sierpnia eskadra szwedzka, składająca się z 44 jednostek pod komendą admirała Bjölkenstierny, odkotwiczyła ze Sztokholmu i skierowała się pod Wismar. Duńczycy mając 28 okrętów, cofnęli się z pod Wismaru do cieśniny Sundzkiej, gdzie otrzymali posiłki w liczbie 11 okrętów, któremi dowodził słynny w przyszłości admirał Mikołaj Juel. 13 września na wysokości przylądka Falsterbö, przy wejściu do Sundu, na duńskich wodach terytorialnych nastąpiło spotkanie, które zakończyło się cofnięciem obu przeciwników do ich portów wypadowych. Duńczycy pod Bjölke'm cofnęli się do Kopenhagi, a Szwedzi pod Bjölkenstierna — do Wismaru. Sukces strategiczny mieli Duńczycy, albowiem Szwedzi nie zdołali ich rozbić, a *eo ipso* opanować szlaku wiodącego do Kopenhagi, będącej głównym obiektem Karola Gustawa. Pierwsza próba szwedzka zdobycia stolicy nieprzyjacielskiej spełzła na niczem, wskutek niepowodzenia, jakie spotkało flotę.

Monarcha szwedzki nie miał czasu do stracenia. Lada dzień mogła nadciągnąć z morza Północnego flota holenderska, wszak Stany Generalne były w przymierzu z Danią, a od strony Pomorza Nadodrzańskiego należało się spodziewać lada chwila nowej ofensywy polsko-cesarsko-elektorskiej. Zmuszenie Duńczyków do zawarcia pokoju stawało się kwestią życia i śmierci, tembardziej, że zwycięska bądźcobądź armia szwedzka była w rzeczywistości odcięta od kraju i stała na terytorium nieprzyjacielskiem. Rada wojenna w Kilonii, pod osobistem przewodnictwem Karola Gustawa, postanowiła rozpocząć ofensywę z Jutlandii przez wyspy na Kopenhagę, zanim lody puszczą. Akcja tym razem miała mieć charakter ściśle lądowy.

30 stycznia 1658 r. Karol Gustaw na czele 3.000 piechoty i 9.000 kawalerii przeprawił się przez zamarznięty Bełt mały, idąc na wysepkę Brandsö, i opanował Fionię. Szwedzi wzięli wstępnym bojem Nyborg nad Bełtem Wielkim i Svendborg, poczem przez Thasinge dostali się znów po lodzie, na Langeland. 9 lutego oddziały Karola Gustawa sforsowały Bełt Wielki i wkroczyły na Laaland, a w pięć dni później wylądowały na Zelandii i stanęły nad Kopenhagą. Przeciwko uderzeniu szwedzkiemu nie mogły ostać się ani duńskie wojska lądowe, ani nie była w stanie dać odporu zakotwiczona w stolicy marynarka wojenna. Karol Gustaw podyktował królowi Fryderykowi III-mu słynne warunki pokoju w Roeskilde, które zostały przyjęte i podpisane przez Duńczyków 28 lutego 1658 r. Dania zrzekała się Skonii, Bohuslänu i Tronthiemu na półwyskie skandynawskim, traciła zatem wschodnie wybrzeże Sundu, oraz Bornholmu na Bałtyku, a poza tem zobowiązała się nie przepuszczać na morze Bałtyckie, ani jednego okrętu wojennego, należącego do państw obcych, tj. niebałtyckich. Ten ostatni warunek był wymierzony specjalnie przeciwko Holendrom i tą klauzulą zemścił się król szwedzki za niespodziewaną wizytę eskadry van Obdama w Gdańsku z roku ubiegłego.

Stany Generalne nie mogły darować tak dotkliwego figla, jaki im wyrządził Karol Gustaw. Nieprzysłanie na czas floty holenderskiej dało triumf Szwedom. Teraz na morzu Północnem, koło Dogger-bank, zgromadziła się zwolna eskadra, złożona z 24 okrętów, którą dowodził znany już poprzednio admirał baron Wassenaer van Obdam. W dwa miesiące po podpisaniu warunków pokojowych w Roeskilde, rozeszły się wieści, że Holendrzy wejdą do Sundu, idąc na pomoc Rzeczypospolitej oraz cesarzowi i elektorskim. Karol Gustaw zażądał niezwłocznie od Fryderyka III-go dotrzymania warunków pokojowych, które nakładały na Danię obowiązek niewpuszczania na Bałtyk obcych okrętów wojennych. Dwór kopenhaski jął zwlekać z daniem odpowiedzi, wówczas monarcha szwedzki postanowił siłą zmusić niedawnego przeciwnika do zupełnej uległości.

Natarcie szwedzkie rozpoczęło się niespodziewanie. 5 sierpnia 1658 r. korpus desantowy, złożony z 8.000 ludzi pod komendą Karola Gustawa wyszedł z Kilonii na pokładzie eskadry transportowej (60 jednostek), eskortowanej przez eskadrę bojową (11 jednostek). Nazajutrz nastąpiło wylądowanie w porcie Korsör na Zelandii i szybki marsz pod Kopenhagę. W trzy dni później szwedzka straż przednia stanęła pod stolicą duńską, a jednocześnie admirał Wrangel wszedł do cieśniny Sundzkiej i zablokował miasto od morza. Zaczęło się oblężenie Kopenhagi, Duńczycy bronili się rozpaczliwie i tak zeszło do października. Nadchodziła już odsiecz.

(Dok. n.)

WITOLD HUBERT

NA WIDOWNI

Polska na ławie oskarżonych — Samosądy, *ghetto* i zakłamanie w czarownej drodze do odmiany.—„Jeszcze Polska nie zginęła".

CZASY są takie, że od lat najciekawszemi wydarzeniami w Polsce są procesy sądowe. Wielkie procesy polityczne, systematycznie przegrywane przez rząd i ujawniające tysiące szczegółów, o jakich zazwyczaj prasa zmuszona jest milczeć, a których posłuszny sejm nie porusza. I w regularności tego zjawiska kryje się coś niepokojącego, — bo niepokoić do głębi musi fakt, że periodycznie na ławie oskarżonych siada cały kraj.

Świeżo więc mamy proces Doboszyńskiego. Książka jego rozeszła się aż w trzech wydaniach,— modlitwę jego o Polsce powtarzają dziś tysiące ludzi. I oczywiście trybunał orzeka — niewinny, a na ten werdykt z niecierpliwością czeka cała Polska. I znowu paradoks: oskarża się kogoś, na kim opinia nie widzi winy. Adwokaci mówią:

—Prawda, jest czyn, czyn bezsprzecznie podpadający pod kodeksy i artykuły. Ale to nie wystarcza, bo chodzi o to, dlaczego to zrobił? Dlaczego ten człowiek mądry i uczony zrobił awanturnicze powstanie? — I tu wszyscy mówią — bo musiał i tysiące go rozumieją, — przysięgli już drugi raz oświadczają, że w tych okolicznościach nie może być mowy o winie. Jak zmora też wisi nad krajem ta sytuacja, że karzący miecz sprawiedliwości uderza tam, gdzie ludność nie chce go widzieć.

A żyjemy jak na grobelce, podmywanej przez wrogie fale. Przez świat idą wielkie hasła i narody zbroją się w idee; — papierowe, mechaniczne rządy należą do przeszłości. Oparcia duchy dać nie mogą—trzeba go szukać u żywych. Więc woła się — konsolidacja. Wspaniale, my wszyscy tego chcemy, ale niech gra będzie uczciwa, niech się stworzy atmosferę rozmowy.

Bo takie *signum temporis*. Wszędzie dookoła są zasieki. X nie mówi z Ygrekiem; Zet za żadne skarby nie zobaczy się z W. Polska rozpadła się na niezliczone prowincje duchowe, na maleńkie i pilnie strzeżone *ghetta* — a wszystkiemu winna właśnie ta nierówna szala bezpieczeństwa i prawa. Człowiek boi się poprostu wyjść ze swym zdaniem poza zaufane swoje koło. To dziś nadzwyczaj niebezpieczne. Są za to frazesy, które służą za list żelazny i tak się robi, że teraz dobrze temu co umie kłamać. Obrzydliwe—prawda?— ale „nasz naród jak lawa".

Stare i mądre słowa, tylko przykro, że Polska dziś tak zeskorupiała. Ale pod lawą wulkanów kryje się ogień i to taki co nie wygasa. W tem właśnie nadzieja i lekkomyślny, kto zawsze liczy na to, że lawa zostanie tylko lawą.

Idą godziny na zegarze, a z niemi idzie czas i prowadzi nas do nowego. Dlatego żyć warto, że ciągle łudzimy się odmianą. Już jutro tak nie będzie, mówimy. I czekamy i pracujemy i znosimy wiele — do czasu,

Trzeba słuchać, trzeba uważać. Znać rytm życie swego narodu; znać i rozumieć jego tęsknoty. To głos ciągły, którego nic nie zagłuszy, to ten ogień, który czyha pod lawą. Trzeba być wiernym ogniom narodowym. Nie marnować tych sił, które w nich drzemią—nie walczyć z tym ogniem, bo to walka beznadziejna. Są granice i wynalazków i ludzkiej mocy.

I nie trzeba też wątpić. Do tego nawet oczy najszerzej otwarte nie uprawniają. To nie po katolicku przede wszystkim. To cofnięcie się w walce, to zatrzymanie w pochodzie. Twórczą jest zawsze tylko wytrwałość, a gdy na nią miejsca nie ma, jej siostrzyca cierpliwość. Krople wody wydrążyć zdołają i najtwardsze i najmocniejsze kamienie.

Jest brzydko. To prawda, ale to tylko dzisiaj. Taki lutowy szary dzień, ani naprawdę zimowy, ani wiosenny, ani jesienny. Brudne jest i niebo i ulice; bez wyrazu niemiły wiatr — ale to tylko dzisiaj. Bo każdy dzień zbliża nas do wiosny i ona nadchodzi szybko, czając się właśnie w tem brudnem niebie, w zamienionym na błoto śniegu i niemiłym wietrze, przynoszącym zapowiedź odmiany.

Czarodziejskie to słowo — odmiana i czarodziejskie to, że o niej naprawdę nic przecież się nie wie. Jakże głęboko mądre, że przyszłość jest dla nas zakryta. Bo w ten sposób ona jest zawsze lepsza i to jest słuszne, — bo przyszłość zależy od nas, od naszej woli zwycięstwa, od uporu w walce i determinacji wytrwania. Nie kłamią te mity i legendy, które mówią, że światy można przestawić, gdy się chce i, że nie ma nic niemożebnego. To prawda, tylko, że na to trzeba być człowiekiem.

A tak mało dziś ludzi. Tak mało determinacji i odwagi. Tak mało zaufania i wiary. — Stąd też i tak mało zwycięstwa i tak ponuro. A wiosna nie zawsze się spóźnia i ona czasem prędzej przychodzi.

A w Polsce trzeba wierzyć w wiosnę. To największe prawo naszego narodu. Regeneracyjna siła jego przebudzeń i niespodzianek. W takich złych okresach jak nasz lęgnie się siła. W przeciwnościach wykuwa się zwycięstwo i ciernistemi ścieżkami idzie wzwyż. Co nie zdobyte, łatwo się traci. Przyjemniej żyć, jak wegetować.

I Polska miała tysiące wiosen, wiekami szło i falowało „pospolite ruszenie". Zawodziło pod Ujściem, ale ratowało pod Tyszowcami. Uśpiony olbrzym cudownie odzyskiwał swoje siły. I po saskim pijaństwie przyszła trzeźwość odrodzenia.

Orkiestra polska gra czasem nieskładnie,—tak pisał Rostworowski; brak nieraz dyrygentów, brak skoordynowania. Ale jest jednak c o ś — jest zawsze jakaś ukryta siła. I gdy teraz aż zadużo mówi się o „problemie naszego narodowego hymnu" — nigdybym się nie wyrzekł mazurka. Chociażby dlatego, że zaczyna się on od tych magicznych słów: „Jeszcze Polska nie zginęła!"

KAROL STEFAN FRYCZ

Do zeszytu obecnego dołączamy przekazy na P. K. O. w celu ułatwienia Sz. prenumeratorom wysyłki należności za kwartał drugi. O wyrównaniu przy tej okazji zaległości usilnie prosimy.

GŁOSY

„DZIECI WDOWY"

Śmiały głos posła Dudzińskiego na plenum przerywa nareszcie milczącą umowę w sprawie nie poruszania tak „draźliwego" tematu, jak wpływ masonerii a więc klasycznie „obcych agentur" na rządy w Polsce. Żądaniu pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej ujawnionych masonów — urzędników państwowych, za służenie dwóm jednocześnie rządom, państwu polskiemu i zwierzchności lożowej, można tylko z całej siły przyklasnąć.

Najzabawniejsze w tej całej aferze to, że nawet w Ameryce wiedziano o słynnym posiedzeniu polskiej Najwyższej Rady masońskiej w gmachu Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych, na miejscu zaś uparcie wypierano się wszystkiego, zgodnie ze stwierdzeniem, iż masoneria nie jest tam w Polsce zalegalizowana, skutkiem czego „bracia" zachowują milczenie na temat swej przynależności. Jednak ci, którzy zajmują takie stanowiska, na których nie mogą być uderzeni, nie wahają się z ujawnieniem swej przynależności. „Braciom" — uczestnikom inkryminowanego konwetyklu zabrakło jednak najwyraźniej cywilnej odwagi, potrzebnej do odsłonięcia się. No, ale i tak maskę im zdarto.

Koleżeńska przestroga p. premiera dla interpelanta przed zemstą masonerii, która podobno „już nie jednego sknociła", zasługuje na uwagę. Poza tym jednak sądzimy, że zarówno z regularną mafią masońską, jak „braćmi uśpionymi" z Zarządu Związku Nauczycielstwa Polskiego naród da sobie radę choćby i wbrew nawet możnej opiece politycznych socjuszów, wspólników bez wymówienia i z ograniczoną odpowiedzialnością.

„*GHETTO* ŁAWKOWE" W SZKOŁACH ŚREDNICH

Do żydów odnoszą się słowa p. ministra Oświaty wypowiedziane w Sejmie:

> Młodzież niepolską należy kształcić na obywateli lojalnych uniezależnionych od sił z zewnątrz,

gdyż oni to w pierwszym rzędzie z powyższym zarzutem ustawicznie się spotykają,

Piękny postulat, ale bez szans realizacji, gładki frazes — nic więcej.

Że młodzież żydowska inną nie będzie, niż jest, zdają sobie z tego sprawę wszyscy. To też zamiast żywić w stosunku do niej nadzwyczajne ambicje wychowawcze, należy ją poprostu zapędzić do *ghetto*, także i na terenie szkół średnich nietylko wyższych uczelni. Wyrazem takiego poglądu jest głos innego mówcy w dyskusji nad budżetem min. oświaty na plenum, księdza, nietylko występującego przeciw obecnemu zarządowi Z.N.P. i mówiącego o procesach komunistycznych młodzieży szkolnej, ale i stwierdzającego, że

> furtką, przez którą komunizm sączy się do szkoły, jest młodzież żydowska. Jedynym środkiem przeciw komunizowaniu młodzieży jest przecięcie wszelkich stosunków między młodzieżą żydowską, a chrześcijańską. Winny być osobne szkoły dla żydów i dla chrześcijan. Żydzi i bezwyznaniowcy nie mogą nauczać dzieci katolickich.

A więc nie mrzonka asymilacyjna, ale bezwzględne izolowanie żydów na całej rozciągłości życia polskiego jako wstęp do całkowitego wygnania ich z granic naszego kraju,

NAUKA I LITERATURA

MAŁŻEŃSTWA

Powieść p. Plisnier „Małżeństwa" [1]) jest debiutem. Pisarz zupełnie nieznany, a jednak tylko fakt belgijskiego obywatelstwa autora stanął na przeszkodzie do uzyskania zeszłorocznej nagrody Goncourtów, przyznawanej młodemu powieściopisarzowi przez krytykę niemal jednogłośnie. Trudno to nieoczekiwane powodzenie przypisać wyłącznie zaletom formalnym, nie stanowiącym przecież tak oszałamiającej nowości na terenie powieści francuskiej, wyrosłej w blasku wielkich imion literackich, korzystającej oddawna z poziomu zdobytego przez genialnych twórców francuskiego romansu. Oczywiście, do czytelnika — zarówno tego zwykłego jak i znawcy — przemówiły „Małżeństwa" siłą bezwzględnej, drapieżnej obserwacji, realizmem, narzucającym wyobraźni uporczywą wizję, obraz wewnętrznej istoty przedmiotów i ludzi, bolesną wreszcie, brutalną plastyką ciasnego tego światka, zasnutego przędzą namiętności i pasji bohaterów. Nie w tym jednak leży główna waga utworu, będącego w swej treści zamierzonem zapewne, przeraźliwej mocy oskarżeniem pod adresem współczesnej burżuazji, której obłuda i zakłamanie życiowe najjaskrawiej w świetle dziennym prezentują się na terenie zawieranych dla interesu małżeństw.

Po wojnie, która zdołała zapewne siłą swego wstrząsu wytrącić przeciętnego *bourgeois* z jego trawiącej i sytej równowagi, pojawiło się na widowni kilku pisarzy, co potrafili przerażająco jasno uświadomić ogółowi ten stan przebudzonego sumienia. W płaszczyźnie katolickiego myślenia i zmartwychwstałej wiary uczynili to François Mauriac i Georges Bernanos, — zwłaszcza ten drugi.

Plisnier, zdzierając maskę fałszu z małżeństw współczesnych, nie robi tego w imię jakiejś wyższej zasady, trudno nam przynajmniej, przy braku tutaj jakiegokolwiek rezonerstwa, wykryć jakiś ślad dydaktyzmu. Według niego, w imię wyłącznie szczęścia jednostki należałoby stosować pewien dobór przy zawieraniu związków. Bez tego, bez możności zaspokojenia w trwałym, uświęconym stosunku dwojga ludzi naturalnego pragnienia miłości, instytucja sama albo zastyga w formalizmie albo — co gorsza — ulega rozsadzeniu przez prące od wewnątrz siły.

Na przestrzeni całej książki, na tle złych albo bezdusznych małżeństw ukazuje nam autor, jako przykład godny naśladowania ze względu na promieniującą miłość pary połączonych ze sobą ludzi, związek wolny, nie zatwierdzony przez władzę Kościoła. Bardzo smutne świadectwo wystawia w ten sposób praktyce małżeńskiej francuskiego mieszczaństwa.

W przedstawianych na kartach powieści poszczególnych dziejach małżeńskich pisarz obiera punkt widzenia strony słabszej, bardziej narażonej na zawody i rozczarowania, więcej zawsze w okresie poprzedzającym, przygotowawczym po zmianie stanu sobie obiecującej. Małżeństwo Fabiany Fraigneux z agentem jej ojca, fabrykanta obuwia, bogacza co się zowie, nie jest zawarte pod kątem uczucia miłości, ale potrosze na złość poprzedniemu narzeczonemu, który doprowadza do zerwania, także dla podtrzymania parą młodych rąk chwiejącej się firmy, z pełnią przytem błogiej nadziei, że młody, przystojny człowiek nie zawiedzie swej przyszłej pod żadnym względem. On ma jednak wilcze szczęki, — a że apetyt rośnie w miarę jedzenia, więc też ubogi z rodu Maksym przyzwyczaja się do wysokiej stopy życiowej, później jeszcze zdradza młodą żonę na potęgę, wreszcie wiąże się na stałe z jedną z kochanek; teścia wydziedzicza z majątku, do tego samego dąży w stosunku do żony a na korzyść swej aktualnej miłostki.

[1]) Charles Plisnier. „Małżeństwa". Warszawa—1938. Towarzystwo Wydawnicze „Rój", str. 547. Z upoważn. autora przełoż. H. H.

Serce Fabiany spopielało w automatyzmie i zdawkowości obowiązkowej miłości małżeńskiej. Z czasem rodzi się w niej bunt i nienawiść względem tego, którego kupiła sobie z duszą i ciałem za cenę majątku i siebie samej. To też nic nie powstrzyma jej ręki, wsypującej do szklanki Maksyma truciznę w momencie, gdy dowie się o zdradzie męża i planowanym zamachu na jej majątek. Ten osiatni motyw rozproszy cień choćby wyrzutów sumienia, pozwoli rozkoszować się upragnioną swobodą i zwycięstwem.

Fabiana wystąpi w roli trucicielki w charakterze mściciela i obrońcy przed intruzem, co śmiał się wedrzeć do rodziny Chardin-Berniere'ów, z której ona wyszła, i zamącić odwieczny spokój i poprawność. To też, na mocy milczącej umowy nikomu z rodziny nie przyjdzie na myśl doszukiwać się jakiejś nadzwyczajności w niespodziewanej śmierci Maksyma Salembeau, owszem — każdy bałby się dotknąć niebezpiecznego tematu w obawie zakłócenia wygładzonej powierzchni rodzinnego trwania.

Kuzynka Fabiany, Marcela również jest nieszczęśliwa w małżeństwie z żydem Jakubem Weberem (mydło Weber): głęboko uczuciowa, nie tylko jak Fabiana doznała typowej kobiecej porażki, traktowana jak przedmiot przez męża, ale i nie znalazła pola dla wyżycia się zdobywczego w miłości, co może nieuchronne dla każdej kobiety. Praktyka życiowa zmusiła ją do kompromisów, a poczucie obniżenia lotu sprowadziło nieuchronny upadek: setkę już potem przypadkowych przygód miłosnych, znajdujących, zdaje się, tragiczny finał w zetknięciu z czystą naturą artysty-muzyka, Gerarda. Ojciec Marceli, adwokat spełnia w tym kłębowisku sprzecznych żądz i wykrzywionych pragnień trudną rolę głosiciela *sui generis* ewangelii rodu Chardin-Bernier: poprawności życiowej, umiaru, solidarności i bezpieczeństwa rodzinnego-szacunku dla wszelkich form, nawet obojętnego albo wrogiego obrządku. Jest tak skostniały w formalizmie, że na, wet nie uświadamia sobie fałszu, jaki poczytuje za obowiązującą religię. Właśnie on, oficjalny ateusz celebruje wszystkie kapłańskie, sakralne funkcje społeczne.

Atmosfera książki jest ciężka i dusząca: nie rozdzierają jej gromy katastrof, nie doznajemy oczyszczającego wstrząsu, nie odczuwamy „strachu i politowania" w obliczu samokarzącącego się występku. Brak jest Boga, choć wszyscy dokoła mają na ustach opiekującą się domem Chardin-Bernier Opatrzność.

Wielka rodzina wyszydzanej w literaturze burżuazji powiększyła się tutaj niesłychanie. Jej trwanie, zapoczątkowane tzw. Wielką rewolucją francuską, nosi na sobie cechy absolutne: wstrząsy przechodzą mimo i tylko wyraz wewnętrzny, w miarę zresztą i niedostrzeganego zazwyczaj mieszania krwi z obcymi ulega postępującemu skrzywieniu. Dostrzec to można w odbiciu literatury. Jakaż przepaść jednak dzieli światy „Pani Bovary" i niniejszego utworu?

ST. J.

ZE ŚWIATA SZTUKI

GROTTGER

OMAWIAJĄC pokłosie recenzyjne wystawy sztuki gotyckiej w IPSie [1]), prof. dr Michał Walicki podzielił sprawozdawców na 2 grupy: do jednej zaliczył krytyków, że się tak wyrażę, zawodowych, drugą objął nazwą „plastyków piszących". Nie chodziło tu zapewne o różniczkowanie kwalifikacyj uprawniających do pisania. Czyniąc tak, oczekiwał dr Walicki świadomego ustosunkowania się artystów, jako plastyków współczesnych, do zagadnień i walorów sztuki przeszłości. W ten sposób pragnął otrzymać prawdopodobnie jeszcze jeden sprawdzian jej żywotności. Spodziewał się od plastyków piszących wyznania, czem dla nich jest sztuka gotyku. Lecz „opinia plastyków o wystawie mogłaby należeć do najciekawszych, gdyby plastycy-recenzenci odważyli się na mniej „sprawozdawczo-wyjaśniające", bardziej natomiast „plastyczno-współczesne" stanowisko". W zdaniu tym wyczuwam delikatny zarzut, żeśmy się niepotrzebnie zabawiali w „historyków", miast pozostawić to bardziej powołanym. Zgadzam się z prof. Walickim i sam chętnie przyznaję się do grzechu; cóż robić jednak: do takiej roli — której, mówiąc nawiasem, bardzo nie lubię — zmuszają nas często okoliczności. Czytelnik nie zawsze ma czas, ochotę i sposobność po temu, by w razie wystawy retrospektywnej szukać potrzebnych informacyj w rozlicznych dziełach naukowych, poświęconych odnośnemu tematowi. Żąda wtenczas od recenzenta swego pisma pomocy „sprawozdawczo-wyjaśniającej" i ten, *nolens-volens*, musi mu służyć.

Rad jestem, że wystawa Grottgera nie nakłada na mnie podobnego obowiązku. Jego dzieła, w reprodukcjach znajdujące się w każdym niemal domu polskim, dostatecznie spopularyzowały imię ich autora. Toteż w tym wypadku, rozgrzeszony poza tym przez dr. M. Walickiego, opowiem, jakie wrażenie, przy ponownym zetknięciu się, wywarł na mnie Grottger i do jakich skłonił refleksyj.

W Grottgerze widzę rzadki fenomen, nie jakiejś nowej formy artystycznej (przeciwnie — ta była bardzo przystępna i powiedzmy nawet akademicko wstrzemięźliwa), lecz jednoczesności zdarzeń i relacji plastycznej o nich. Wobec wielkich wydarzeń artysta pragnie zazwyczaj dystansu, perspektywy, a jeśli utrwala aktualność, to w formie dorywczej impresji, lub pamiętnikarskiej notatki raczej, przydatnej dla przyszłych pokoleń. My sami byliśmy świadkami i uczestnikami wielkich dni. Czy który z nas wyobraził je w sposób godny zanotowania? Nic ponad ilustracje, szkice, studia portretowe towarzyszy broni, robione przez żołnierzy-artystów. Ilekroć mowa o transpozycji na język plastyki ostatnich wypadków, które w rezultacie dały nam niepodległość, tyle razy niemal powiadamy, że to wszystko jeszcze dla nas za świeże, że się musi „odleżeć", odejść w głąb perspektywiczną czasu. Mówimy także, że odzyskanie niepodległości uwolniło wreszcie artystę polskiego od różnych pobocznych obowiązków, od posługiwania się sztuką dla rozmaitych, choćby najszlachetniejszych celów, pozwalając mu jedynie cele artystyczne mieć na oku. Wartość swobody, uzyskanej za cenę często zupełnej wobec sztuki obojętności społeczeństwa nieraz wydaje mi się problematyczna. Grottger dziełem swem uderzał w strunę uczucia narodu i naród mu odpowiadał.

Czyż to nie najcenniejsza dla artysty świadomość, świadomość jedności ze społeczeństwem. W jednym ze swych listów Grottger pisze: „...pomyślałem jak okropne musi być życie i czucie artysty, który się widzi niezrozumiałym, albo się o to nigdy nie troszczy — jak smutny los tego, który pragnie, ale nigdy nie umie być zrozumiałym".

W związku z tym wynurzeniem artysty przychodzi mi na myśl inne jeszcze, bardzo ważne w tym wypadku zagadnienie: stosunek formy do treści. Czy dramatyczności odtwarzanych przez Grottgera zdarzeń odpowiadała ta doskonale po-

[1]) „Nike" rocznik I, rok 1937.

prawna, akademicko spokojna forma jego plastycznej wypowiedzi? Czy w zgodzie z samym tematem była ta, raczej pogodna, estetyczna idealizacja? Na to, oglądając kartony cyklów Grottgerowskich, od „Warszawy” aż po „Wojnę”, można odpowiedzieć: dramaturgiem Grottger nie był; ilekroć, początkowo, gestem, lub mimiką postaci pragnie wyrazić dramat, te próby zawodzą go. Ale w kartonach późniejszych, zwłaszcza w „Wojnie” odpowiednią — że się tak wyrażę — inscenizację kompozycji osiąga pełnię wyrazu i pożądany nastrój. Umyślnie użyłem słowa „inscenizacja”, gdyż pragną zwrócić waszą uwagę na to, jak bardzo Grottger jest filmowy. Twórca współczesnego filmu o roku 1863-cim takby właśnie, jak w „Wojnie” mógł komponować jego poszczególne obrazy. Takby mogło wyglądać pojmanie szpiega („Zdrada i Kara”). A nastrojowa scena rysunku p. t. „Ludzie czy szakale?” Jakbym to widział na filmie. Wyrażenie treści sceny wymownym szczegółem, jak w „Świętokradztwie”, (ładownica zawieszona na figurze Chrystusa) to chwyt nader typowy dla języka filmowego. Wstępny karton do cyklu „Lituania” (widmo przesuwające się przez gąszcz puszczy) to przecież klasyczny prolog filmowy.

Wygrywanie nastroju raczej sensem przedstawionych wydarzeń i szczegółów, niż ich jaskrawością plastyczną, oto metoda Grottgera, bardzo często przecież stosowana dzisiaj w filmie. Afektacja obrazu olejnego „Pożar dworu pod Miechowem” jest dziś dla nas całkowicie obca, natomiast środki wyrazu artystycznego, użyte w „Wojnie”, „Lituanii”, a częściowo także i „Polonii” zupełnie nam bliskie.

WIKTOR PODOSKI

Z SALI ODCZYTOWEJ

O JĘZYKU LISTÓW SZOPENA

STARANIEM Warsz. Koła Tow. Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych odbył się odczyt p. t. „O języku listów Szopena”, wygłoszony przez prof. K. Nitscha z powodu i na podstawie wydanych przez prof. H. Opieńskiego listów Szopena z lat 1816—1849. Na wstępie prelegent zadał sobie pytanie, czy w języku Szopena odbija się jego muzykalność, czy następnie na drodze drobiazgowej analizy fonetycznej można dotrzeć do jej jądra? Druga wątpliwość, czy styl artysty w życiu, owa *préciosité* znalazły jakiś refleks w tejże korespondencji? Kolejność odpowiedzi na powyższe pytania zadecydowała o budowie prelekcji.

Z całą pewnością, Szopen nie potrafiłby wyrazić słowami tego, co czuł tworząc muzycznie; wątpliwe, czy nawet w pełni sobie to uświadamiał. Trafnie podchwycił tę stronę jego natury Iwaszkiewicz w sztuce „Lato w Nohant”, gdzie wielki twórca, nagabywany przez George Sand o zawartość treściową swej muzyki, w słowach sugerujących wprost pewne obrazy i skojarzenia patriotyczne, — zbywa ją, przyznając się, że jego muzyka to tylko pasaże, etiudy etc. Jak wiemy, nie był on zwolennikiem tzw. muzyki programowej, ale wyznawcą muzyki absolutnej, dlatego przekładał Mozarta nawet nad Bethowena. W listach wiele znajdziemy wiadomości o współczesnym życiu muzycznym na szerokim świecie, o twórcach i wirtuozach, ale poza tem ileż najcodzienniejszych, najbardziej potocznych spraw i wydarzeń. Muzyką więc Szopen żyje, ale nie rozprawia o niej ani nie wywnętrza się przed swymi korespondentami. Język tych listów jest staranny, ale bez śladu patosu literackości, z myślą o przyszłych czytelnikach spuścizny po sławnym człowieku. Pod tym względem, artyzmu albo ideowego bogactwa, nie wytrzymują one porównania z listami Słowackiego, Mickiewicza, Orzeszkowej ani nawet Grottgera.

Wydawcy, sądząc widocznie, że nie dostaje tutaj szlachetności, klasycyzmu formy, poszli na zbyteczne słodzenie jędrnych wyrazów i postarali się o usunięcie lub wykropkowanie nierzadkich nawet trywializmów.

Interesujące są niezmiernie te listy nie tylko z uwagi na osobowość ich autora, jednego z największych Polaków, ale jako odbicie stosunków panujących wśród warszawskiej sfery kulturalnej, gdyż nie zapominajmy, że Szopen był jaknajbardziej autentycznym warszawiakiem. Ciekawe, że francuszczyzna, na którą się od czasu do czasu na tych kartkach natkniemy, bynajmniej nie jest pierwszorzędna, — znać, że o wiele od polszczyzny gorsza.

Czuły natomiast jest Szopen wielce na bliski mu dialekt mazowiecki. Znalazło to odbicie w korespondencji; podobnie bowiem jak często pisze po francusku pisownią polską, tak i bezbłędnie zazwyczaj, a dla konceptu „mazurzy” i „szadzi”. W tym wypadku, oddania subtelności gwarowych nie trudno o pomyłkę: przeszarżowanie lub niedociągnięcie w chłopskości. Trzeba mieć wiele poczucia rdzennego, aby z tej próby wyjść zwycięsko.

Cechuje te pisania humor niefrasobliwy, brak jakiegokolwiek sentymentalizmu albo romantycznej czułostkowości. Dowcip w dużej części polega na przekręcaniu i przedrzeźnianiu z chłopska suchej i wysztywnionej mowy inteligenckiej. Trzymają się Szopena w tych listach nieraz wisielcze wprost kawały. Na ich podstawie możnaby powiedzieć, że był on raczej wesoły.

O mowie ówczesnej Warszawy, poprzez zebrane wypowiedzi wielkiego jej przedstawiciela, możnaby powiedzieć, że brak tam rusycyzmów, że nie ma plagi gramatykarskiej poprawności, że nie choruje ona na nieuzasadnione pretensje do pseudo-literackiej dystynkcji — i bezustanną deklamację oraz frazes imitujący bezskutecznie górny patos.

Jeśli teraz zbierzemy uwidocznione w korespondencji cechy indywidualne artysty, zarówno te dostępne wyłącznie „szkiełku” językoznawcy, mówiące o polskości Szopena (jak np. rdzenne akcentowanie enklityczne), zatarte miejscami przez „niefachowe” dotknięcie wydawcy, muzyka a nie lingwisty, — jak i rozliczne inne, zrozumiałe dla ogólnego pojęcia, ukaże się naszym oczom wyrazisty profil nie tylko artysty ale i człowieka, rzetelnego w stosunku do wielkiej sztuki, z jaką miał szczęście obcować, nie przedłużającego w sztuczny sposób jej żywota w dniu codziennym przy pomocy nieobowiązującego frazesu.

Ze swadą oraz z właściwym prelegentowi zacięciem polemicznem wygłoszonego odczytu wysłuchało liczne grono nauczycielskie. Zauważyliśmy także paru profesorów uniwersytetu.

O-n

Z OBCEGO ŚWIATA

BŁĘDY Z PRZED 20 LAT MSZCZĄ SIĘ...

ROZMOWA kanclerza Hitlera z kanclerzem Schuschningiem oraz następstwa tej rozmowy — zmiana rządu w Austrii, którego ministrowie jeżdżą już poprostu do Berlina po instrukcje, świadczy, że *anschluss* Austrii dokonuje się w formie procesu organicznego. Było to do przewidzenia, nie dzisiaj i nie wczoraj.

Przypomnijmy.

Roku 1917-go, Roman Dmowski wydał w Londynie „Zagadnienia środkowo i wschodnio - europejskie”. Memoriał Dmowskiego, świadczący o jego politycznym geniuszu, wskazywał na drogi, którymi niezawodnie pójdzie historia Europy,

rozwój jej stosunków. Przytoczmy tylko ustępy rozprawy Dmowskiego tyczące się właśnie Austrii:

„...ewolucja narodowa Europy wyprowadziła na widownię potęgę rasy niemieckiej — która zawsze liczbą silna od końca Wieków Średnich była politycznie rozbita — bo wytworzyła jedność niemiecką i ustanowienie Cesarstwa Niemieckiego, potężnego, proporcjonalnego do siły narodu...”

A dalej:

„Wysuwane koncepcje, że Austria może stać się państwem niezależnym od Niemiec, a nawet rywalką Niemiec, są całkiem złudne. Ci, którzy dla podobnych koncepcji szukają podstawy w rywalizacji istniejącej między Habsburgami a Hohenzollernami, zapominają, że ludy nowoczesnej Europy nie kierują się interesami i ambicjami dynastycznemi i że w przyszłości interesy te stracą nawet ten wpływ, jaki jeszcze mogą posiadać na rozwój wypadków. Ci, którzy opierają swoje nadzieje na antagonizmie między Niemcami katolickimi a protestanckimi, nie zdają sobie sprawy widocznie z tego, że tam, gdzie istnieje jedność narodowa, różnice religijne przestały grać ważniejszą rolę w polityce...”

A dalej:

„Pozostaje jedno wielkie zagadnienie, mianowicie przyszłości niemieckich prowincji Austrii, tego obszaru, który przylega do Cesarstwa Niemieckiego i posiada zwartą ludność niemiecką, tj. Dolnej i Górnej Austrii, Salzburga, Tyrolu i północnych części Styrii i Karyntii — przedstawiających sumę ludności 7.300.000. Ten kraj jest niewątpliwie krajem niemieckim, jego mieszkańcy są integralną częścią narodu niemieckiego i w razie upadku Monarchii Austro-Węgierskiej — żadna siła nie mogłaby przeszkodzić jego połączeniu z państwem narodowem niemieckim. Żadne inne urządzenie polityczne tego obszaru nie może być trwałe...”

I wreszcie:

„W żadnym razie ciągłość istnienia niezawisłego państwa Austro-Węgierskiego nie ma najmniejszych widoków”.

Oto słowa i wskazania, którymi należało się kierować przy układaniu Traktatu Wersalskiego. Według Dmowskiego, prędzej czy później, Austria musi się połączyć z Niemcami. Fakt jest to nieuchronny. Trzeba więc było scalenia obszaru narodowego niemieckiego dokonać odrazu po zakończeniu wojny, wzamian zaś za to dać Polsce całą Wielkopolskę, Śląsk, Prusy Wschodnie wraz z Gdańskiem oraz Królewcem, jako wolnym miastem, czyli spełnić uzasadnione chyba zupełnie (sam czas to potwierdził...) żądania Dmowskiego. Silna narodowo Polska stanowiłaby zawsze groźbę dla swego zachodniego sąsiada a tym samym byłaby istotnym czynnikiem pokoju w świecie.

Dzisiaj Niemcy rosną zagarniając co raz to nowsze prowincje, czy to w formie jawnej aneksji, jak to było z Nadrenią, czy to w formie organicznego wtapiania w obszar III Rzeszy, jak to jest z Gdańskiem czy Austrią. Dzisiaj państwo niemieckie obejmuje już prawie cały obszar narodowy niemiecki wraz ...z ziemiami etnicznie i historycznie polskimi. Równowaga Europy zachwiana a pokój zagrożony. Nie posłuchano w pełni przestróg Dmowskiego. Błędy polityków układających kartę świata przed dwudziestu laty mszczą się...

ANTYSEMITYZM WE WŁOSZECH

Żat, czyli „Żydowska Agencja Telegraficzna” skarży się:

„Korespondent „Timesów” donosi z Rzymu, że wydawcy włoscy otrzymali oficjalne ostrzeżenie, w myśl którego nie wolno im bez specjalnego zezwolenia ogłaszać dzieł żydów włoskich. Poza tym nie wolno tłumaczyć na język włoski dzieł żydów zagranicznych. Zakazuje się też wystawiania sztuk teatralnych, pisanych przez żydów nie — włoskich, jak również nadawania przez radio dzieł kompozytorów żydowskich”

A dalej:

„Będzie jednak ciekawe dowiedzieć się, czy nastąpią dalsze, bardziej demonstracyjne posunięcia o charakterze antyżydowskim. Jak sądzę, sprawa jest obecnie rozważana przez czynniki decydujące”.

Znajdujący się na usługach żydostwa warszawski „Dziennik Ludowy” pisze:

„Niezadowolenie mas pracujących w faszystowskich Włoszech przybiera na sile, to też nic dziwnego, że panujący faszyzm coraz nowe hasła, coraz nowe zawołania na kraj swój wypuszczać musi, aby na złudnych, demagogicznych falach utrzymać ich dążenia.

Ostatnio rozpoczęła się kampania antysemicka, kampania, przeciwko której ludność nie waha się okazywać swego niezadowolenia. W dzienniku faszystowskim „*Il Popolo di Trieste*”, w numerze z dn. 22 b. m. (stycznia—przyp. M. N.). Fasinacci zajął się tym właśnie zagadnieniem antysemityzmu, problemem „fundamentalnym” dla Triestu.

Pan Fasinacci dowodzi w swym artykule. że w Trieście „samo powietrze zostało zaatakowane i zatrute przez żydowstwo”.

Fala antysemityzmu, narzucona przez faszyzm włoski, rozszerzona jest na cały kraj.

Śmieszne są argumenty „Dziennika Ludowego”.—„N i e z a d o w o l e n i e m a s p r a c u j ą c y c h w e W ł o s z e c h... Z ł u d n e, d e m a g o g i c z n e f a l e...” Ależ właśnie, gdzie, jak gdzie, ale w Italii, dzięki szczęśliwemu posiadaniu znikomego odsetka ludności żydowskiej, antysemityzm nie może stanowić pożywki dla tłumu, nie może być tłumu tego żadnym narkotykiem, ale zarządzenia faszystowskie, mocne, zdecydowane i w swej treści nadzwyczaj rozumne dowodzą, iż istota walki bezkompromisowej ze zjawiskiem, jakim jest żydostwo, znajduje oddźwięk wszędzie, tam nawet, gdzie walka ta nie ma warunków stania się chlebem powszednim najszerszych mas.

A tu odrazu komentarze najśmieszniejsze i najbardziej naiwne i odrazu doniesienia, ale takie „murowane” z najpewniejszego źródła: „...k a m p a n i a a n t y s e m i c k a, k a m p a n i a p r z e c i w k o k t ó r e j l u d n o ś ć n i e w a h a s i ę o k a z y w a ć s w e g o n i e z a d o w o l e n i a”.

NA MARGINESIE

— Będziesz pan musiał się żenić, panie ładny.

— Z powodu?

— Z powodu: podatek od kawalerstwa. Pan wiesz, że jedna z posłanek postawiła w Sejmie wniosek, aby obniżyć podatek od cukru a natomiast wprowadzić podatek od kawalerów.

— To było bardzo kobiece, a czy to było *junctim?*

— No tak, panny będą jadły więcej cukierków, a pan będziesz jadł mniej.

— Czy ja to kanarek, żeby mnie na cukier brano?

*

Poseł Dudziński w r. 1936 w grudniu, zapytał w Sejmie pana premiera, czy to prawda, że w lasach państwowych są masony? Po dokładnym badaniu, które trwało przeszło rok, p. premier miał odpowiedź gotową, że takowych masonów w lasach państwowych nie dostrzeżono... Zresztą nie jest to pora polowania na masony.

BŁĘDY DRUKU. W artykule T. Mildnera o Rostworowskim w nr. 7 na str. 98 (na końcu powinno być: „pisarza katolickiego i n a r o d o w e g o“, a nie „naukowego“; na str. 99 szp. 1 w. 22 od dołu ma być „M a y a“ nie „Maria“.

W nr. 8 na str. 120 szp. 2 powinno być: „n a j w i e r n i e j s z y c h członków“ a nie „najważniejszych“, a w dalszym ustępie powinno być: „na w i e c a c h“, a „nie na ulicach“.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.